№ 48. Warszawa, dnia 13 (25) Listopada 1876 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera:—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

KRONIKA ZAGRANICZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

Wszyscy Święci. — Pogoda.—Dziennikarskie nowalije.— Francesconi i Gerstaecker. — Hartmann. — Wpływ piśmiennictwa na życie. — Teorya romansu i powieści Keitera. Coś o niej i o powieści. — Stare baje. — Próbka powieści z XIII wieku Gesta Romanorum. — O dobrym słudze. — Opowiadania dawne i ich dzieje Auerbacha.— Po latach trzydziestu. — Wiejskie historye.—O nich słów kilka. — Gutzkow. — Spielhagen. — Heyse tłomaczenie podróży Giusti.

(Dokończenie).

Cesarz widząc że tak roztropnie dwie posługi spełnił, cieszył się wielce, a przywoławszy podczaszego, rzekł mu: Miły mój, nalej do kielicha mego octu, wina najlepszego i moszczu, a daj Guidonowi pić, bo to być ma trzecia służba jego, bo umie bowiem kosztować napoju dobrego. A pokosztowawszy Guido rzekł: Było dobre, jest dobre, będzie dobre, co miało znaczyć że z moszczu stać się miało wino dobre, że wino drugie dobre już było, a ocet był też winem skwaśniałem. Cesarz usłyszawszy jak roztropnie o napoju sądził, rzekł mu: kochany mój, idź po ziemiach i grodach i zapraszaj wszystkich przyjaciół moich na ucztę, bo oto nadchodzą święta Narodzenia Pańskiego, a to ma być czwarta służba twoja. Rzekł on na to: Panie, gotów jestem. I szedł po ziemiach i grodach, ale żadnego z przyjaciół cesarskich nie prosił, tylko nieprzyjaciół jego... Tak że w wigiliją Narodzenia Pańskiego, dwór cesarski pełen się stał nieprzyjaciół jego. A cesarz gdy ujrzał wszech nieprzyjaciół swych, poruszyły mu się wnętrzności, zawołał Guidona i rzekł mu: Kochany mój, a nie mówiłżeś ty mi że umiesz na ucztę zapraszać? Na co ten: Tak jest, panie. Na co cesarz. Mówiłem ci ażebyś przyjaciół prosił, a zaprosiłeś nieprzyjacioły? On na to. Panie, wolno mi odpowiedzieć? W jakiejkolwiek porze roku i w jakiejbądź godzinie przychodzą przyjaciele twoi, przyjęci są z weselem. Inaczej się dzieje z nieprzyjaciołmi. Dla tegom ich tu sprowadził aby łaskawe wejrzenie twe i dobra uczta z nieprzyjaciół ich przyjaciołmi uczyniła. I tak się stało. Nim się uczta skończyła stali się wszyscy przyjaznemi. Cesarz radował się bardzo i rzekł: Kochany mój, błogosławionym niech będzie Bóg! wrogi moje przyjaciołmi się stali. Spełnij piątą służbę twoją — uczyń mnie i przyjaciołom moim ogień bez dymu. Ten rzekł. Panie, gotów jestem. Cóż tedy uczynił Guido? W lecie drzewo układał na słonecznym skwarze, a wyschło tak, że jak skoro się zajmować poczęło, natychmiast płomień wydawało bez dymu, tak że ogrzał się cesarz ze wszystkiemi przyjacioły swojemi. Naostatek rzekł do Guidona: Pozostaje usługa ostatnia. Jeżeli ją roztropnie spełnisz, obsypię cię bogactwy i czcią okryję. Na co ten: Panie, ktokolwiek chce do ziemi świętej pielgrzymować, niech za mną na brzeg morza spieszy. Więc mężowie, niewiasty i dzieci, słysząc to, prawie nieprzeliczonym tłumem za nim ciągnęły. Tam gdy przyszli, rzekł do ludu: Kochani moi. Widzicie na morzu, to co ja postrzegam? Oni na to. Nie widzimy nic. On. Oto na morzu skała jest wielka. Podnieście oczy a ujrzycie ją. Oni mu na to. Panie, nie dosyć to dobrze widzimy, a dla czego to mówisz, nie wiemy. Na to on: Na skale tej mieszka ptak, zawsze na gnieździe swem przesiadujący, w którem siedm jaj leży zawsze, a w nich on się kocha bardzo. Natura ptaka taka jest, że dopóki on na gnieździe siedzi, morze całe bywa spokojne; a jeśli się trafi że ptak z gniazda uleci, natychmiast morze się całe burzy, a ktoby naówczas płynął, zatonie pewno, dopóki zaś na gnieździe jest, kto płynąć będzie, bezpieczny powróci. Oni na to: A jakże wiedzieć możemy, kiedy ptak na gnieździe siedzi, a kiedy nie? On na to: Nieopuszcza on gniazda nigdy, tylko z jednej przyczyny. Jest bowiem ptak drugi, nieprzyjaciel jego, który dzień i noc pracuje aby mu gniazdo splugawił i jaja jego zniszczył. A ptak ów siedzący w gnieździe, ujrzawszy jaja potłuczone i gniazdo splugawione, z boleści wielkiej zlatuje wnet i morze się burzy i wiatr się wszczyna gwałtowny bardzo. Naówczas na żaden sposób na morze puszczać się nie godzi. Na co mu rzekli: Panie, a jakaż na to rada, aby ptak ów nieprzyjazny, nie zbliżał się do gniazda, i żebyśmy bezpiecznie żeglować mogli? Na co on. Nie ma rzeczy na świecie, którąby ptak ów wrogi więcej się brzydził nad krew jagnięcia, zatem zewnątrz i wewnątrz gniazdo owe krwią wy pokropcie, a dopóki jej choć kropla tam pozostanie, nie będzie śmiał się zbliżyć do gniazda i ptak na niem siedzieć będzie spokojny, morze zostanie cichem i wy się przez nie przeprawicie bez niebezpieczeństwa i cali wrócicie. Ci co usłyszawszy krwi jagnięcia wzięli, gniazdo zewnątrz i wewnątrz nią skropili, do ziemi świętej się dostali, i z niej powrócili cali. Co cesarz widząc, że wszystko roztropnie spełnionem zostało, uczynił go szlachcicem (ad milicium promovit) i obdarzył go bogactwy wielkiemi."

Powieść ta nieraz po klasztornych refektarzach powtarzana, ma dobre lat sześćset wieku. Inne są wolniejsze nieco... ale wszystkim „applicacje" i komentarze nadają dążność moralną. W XVI wieku w Czechach i u nas, wiele z opowiadań tych tłomaczono i przerabiano. Gdy w izbie czeladnej u komina przy kołowrotkach, babki prawiły bajki o zaklętych królewnach, o jabłoni co złote owoce dawała, o żywiącem źródle, o lodowej czy szklannej górze i smoku, w komnacie pańskiej mnich lub pielgrzym wędrowny prawił niby rzymskie owe powieści, z których jedna w kupcu weneckim użytą została. Przeżyły one wieki, czego nasze współczesne opowiada-

nia—nie potrafią. Taka powieść rodziła się niewiadomo gdzie, bo niektórych z nich początek do Indyi odnieść należy, każdy kraj ją na swój sposób przerabiał, każdy powtarzający coś do niej dodał swojego, pomalował, okrasił, i można je nazwać składanemi utwory, na które wieki i pokolenia pracowały. Indyjska baśń taka, w średnich wiekach przetworzona, wygląda w każdym kraju inaczej, do obyczaju się zastosowuje; w Hiszpanji staje się hiszpańską, w Anglji angielską, we Włoszech italską—a zawsze jest ludzką i tkwi w niej coś wiekuiście prawdziwego. Znamy historyę porównawczą jednej takiej baśni wielce nauczającą...

I u nas znają czytelnicy niektórzy stare, bo już przed laty trzydziestu wydane, wioskowe powieści Auerbach'a. Od tego czasu stało się z utalentowanym pisarzem co się często z nami wszystkiemi dzieje. Starzał, patrzał, mienił się, probował i napisał ową piękną powieść „Na wyżynie" a nakoniec swojego, już nam niesmacznego Walfrieda.

Wiejskie owe obrazki w których był mistrzem — zapomniane zostały przez własnego ojca, który teraz sławić począł zjednoczenie Niemiec, pruskie panowanie i wszystko co ono z sobą przyniosło.

Quantum mutatus ab illo! zawołać było można czytając Walfrieda.

Nagle zjawiają się „Po latach trzydziestu" nowe obrazki wiejskie Auerbach'a... Mamy tu trzy tomy przed sobą. Sądziliśmy że autor „Po latach trzydziestu" znajdzie nową Lorle i Bosonóżkę. Stało się inaczej. Trzy nowe powieści Auerbach'a — są to przedłużenia poprzedzających, dalsze ciągi, dopełnienia, świat się odmienił, koleje żelazne poprzecinały Niemcy we wszystkich kierunkach, wieś się musiała przerodzić, ludzie też fizyognomije przybrali inne. Auerbach, który z obecnego stanu jest zupełnie rad i uszczęśliwiony, starych swych bohaterów, dzieci ich i wnuki wyprowadza w tych nowych wiejskich obrazkach. W pierwszym z nich występuje wracający na wieś malarz Reinhardt na grób „pani profesorowej". Pomimo znakomitego talentu pisarza, mimo niezaprzeczonej piękności w które obfituje „Po latach trzydziestu" nie jest to już ten Auerbach stary, który lud malował, nie myśląc nic tem dowodzić, do niczego nie naciągając kolorytu, nie przejmując się tendencyą żadną. Tu widzi założenie — i dowodzenie... Obrazy tracą na tem. W drugim tomie odmalowany Niemiec powracający z Ameryki (Tozpatsch) jest może najtrafniejszym, najprawdziwiej pochwyconym. Charakter jego narodowy, który pod wpływem obcych stosunków uległ wielkiej zmianie, pojęty jest z wielką delikatnością odcieni... Typy wszystkie żywe i wiernie wzięte z natury. W trzeciej powiastce życie rodziny dróżnika przy kolei żelaznej, ma także wiele pięknych szczegółów, przypominających nam starego Auerbach'a. W malowaniu tła i krajobrazu, niewielą słowy z siłą zadziwiającą, mistrz to jest zawsze. Lecz nieustanne wspominanie wojny 1870 roku, krzyżów na niej zyskanych, gloryfikacya Prus — nieznośnemi czynią najpiękniejsze ustępy. Na ostatek dla tych co pierwszych powieści i obrazków wiejskich nie znają, te znacznie mniejszy urok mieć będą. Na okładce czytamy że już od autora prawa tłomaczenia nabyto, na wszystkie niemal języki, oprócz naszego. Nie mogę sobie przypomnieć czy przełożono dawniejsze, i powątpiewam czy i te u nas by miały powodzenie. Auerbach zraża nas głównie, wybitną swą w ostatnich powieściach bezwyznaniowością. Nie jest on już izraelitą — jest nowożytnym człowiekiem czekającym nowego objawienia i obchodzącym się tymczasem moralnością własnego wynalazku. Najwięcej się to daje czuć w Walfriedzie i Kaaboratorze, mniej w obrazkach. Wyjątki z nich nie byłyby może bez uroku, dla naszych czytelników ale czyste wyjątki. Gutzkow drukuje także powieść nową, ta nie jest jeszcze skończoną; kończy się wodcinku dziennika nowy romans Spielhagena. Milczy tylko Freitag i Heise, który wydał przedziwne, przepyszne... tłomaczenie poezyi Giusti'ego. W swoim rodzaju przekład ten jest arcydziełem, a był trudnym... nad wszelkie pojęcie. Są pisarze których tłomaczyć nie można — Giusti do nich należy.

MOJE PRAGNIENIE.

Chciałabym piękną być, jak blask wieczora
Gdy cichym urokiem otacza dokoła
Wioski lubelskie, i pól ich przestworza,
Zmieniając łęgi w złudny błękit morza.

Chciałabym piękną być — jak pączek róży,
Rozwijający listki swe po burzy,
Skąpany rosą, wśród nocy majowej
Świeży — niewinny — lecz z blaskiem królowej.

Chciałabym piękną być — jak promień słońca,
Odbijający się w głębiach bez końca,
Piękną — jak motyl mieniony barwami,
Piękną — jak niebo wzniesione nad nami.

Chciałabym piękną być — jak świtezianka,
Wabiąca w nocy wiernego kochanka,
Jaśnieć rusałki czarem i urokiem,
Gdy buja po Wiśle wieczornym zmrokiem.

Chciałabym jaśnieć pięknością kobiety,
Rozumnej, słodkiej i pełnej zalety,
Rozsiewać urok i czar w koło siebie,
Być ideałem — lecz tylko... dla ciebie!

ZAKLĘTA KSIĘŻNICZKA.

NOWELLA

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Na pensyi na której już była od lat przeszło dziesięciu... opowiadano sobie dziwne o niej i jej pochodzeniu historye. Ponieważ opiekun mecenas Borusławski, dostarczał hojnie wszystkim jej zachciankom środków urzeczywistnienia, a pieniądze płynęły ciągle, i szafować niemi mogła jak chciała, domyślano się jakiegoś magnackiego pochodzenia i zwano ją *zaklętą księżniczką*. Ona sama o swej przeszłości niewiele powiedzieć umiała, wychowywała się przed oddaniem na pensyę u starej jakiejś i poczciwej kobiety, która o niej miała staranie: o rodzicach swych nie słyszała nigdy, ani ich widziała. Mówiono jej zawsze że była sierotą i że dobroczynny jakiś opiekun łożył na wychowanie. Stara owa jejmość z płaczem ją odwiozła do miasta i oddała Borusławskiemu, który umieściwszy na pensyi, dowiadywał się czasami o nią i płacił co było potrzeba. Pani z Villamarinich przez szpary patrzała, iż panna ani metryki w porządku, ani żadnych innych papierów z sobą nie przyniosła. Ponieważ na czas wakacyi i świąt panna Tekla zostawała na pensyi, opłacano za nią więcej, co roku z tajemniczych źródeł płynęły piękne prezenta dla pani, pana, starszej guwernantki i t. p. Szanowano więc to dziecko więcej nad inne... Dostatek który ją otaczał, najwięcej się do tego przyczyniał.

Domysły o owem książęcem pochodzeniu, zrazu nieśmiałe i nie wiedzieć zkąd wyrosłe, w ciągu lat wielu nabrały pewnej powagi, ugruntowały się samem trwaniem. Dość już i pani i panna Eufrozyna i Filipowicz, byliby oburzeni nadzwyczaj, gdyby się kto ośmielił powątpiewać o tem że panna Tekla była *zaklętą* do czasu *księżniczką*. Prędzej, później, spodziewano się odsłonięcia tajemnicy — jakiegoś tryumfu i świetnego piątego aktu dramatu.

Na tych to domysłach opierając się sama pani z Villamarinich, która z ciocią dwóch panien Rabsztyńskich, była w wielkiej, serdecznej przyjaźni, osnuła projekt wyswatania tej niezawodnie bogatej dziedziczki, panu Rabsztyńskiemu, młodzieńcowi, który umiał sobie odrazu pozyskać serca naczelniczek pensyi obu i pana Filipowicza.

Rodzeństwa tych Rabsztyńskich było troje, dwie panienki wychowujące się na pensyi, i pan Maksymilijan młodzieniec wielkich nadziei, już wyemancypowany, który znaczny majątek, nadwerężony mocno przez rodziców, dojadał z zapałem i ufnością w przyszłość niezachwianą. Posagi siostr były zabezpieczone, on zaś swoją ojcowiznę pospieszał puścić, aby być do przyszłej pracy zupełnie swobodnym. Uczyniono mu jednak uwagę, i wierzyciele przypominali to ciągle, iż powinien się był co najprędzej ożenić bogato.

Maks nie był wcale przeciwko temu, a że się nic jakoś lepszego nie trafiło a to coś nadzwyczajnego obiecywało, za poradą i pomocą z Villamarinich, począł się kochać mocno w pannie Tekli.

Przyszło mu to z łatwością wielką. Chłopak był dobroduszny i uprzejmy, nie bardzo zastanawiający się nad tem co czynił, a przede wszystkiem szukający w życiu przyjemności jego. Panna była młodziuchna i bardzo ładna, podobała się cioci, wychwalała ją pani z Villamarinich, która ją przecież najlepiej jak własne dziecię znała, posag problematyczny wydawał się zdala olbrzymim... pan Maks więc zakochał się z największym apetytem i wielkiem przejęciem swą rolą.

Naczelniczka pensyi była pewną że bądź co bądź, rodzice bogatej panny, ukrywający się tak starannie, nie mogąc jej dać imienia swego, szczęśliwi będą i wdzięczni, wydając ją za pana Maksymilijana Ludwika z Rabsztyna Rabsztyńskiego.

Snuło się to już powoli od roku, gdy nareszcie dobre intrydze założywszy fundamenta, uznała pani z Villamarinich, że należało objawić o tem opiekunowi panu Borusławskiemu, aby ten doniósł gdzie należy.

Co się tyczy panny — jakkolwiek ona dosyć była grzeczną dla pana Maksymilijana, który się często bardzo z nią spotykał w pokoju pani z Villamarinich, nikt jednak nie mógł zaręczyć co się w jej sercu działo... i jak była w istocie usposobioną dla pretendenta.

Panna Eufrozyna wyrażała się o niej że jest charakteru flegmatycznego i temperamentu lodowatego, czasem ją zwano nieodgadnioną — pochlebiano sobie jednak iż piękny Maks serce jej podbić musi. Maks Rabsztyński pięknym był w istocie, ale mimo iż mu tu wiele zalet przyznawano — nie odznaczał się niczem tak dalece, oprócz wielkiej do życia ochoty... Jako bardzo ładny chłopak miał łaski u starszych pań, i wdzięk jego młodzieńczy zaślepiał równie panią samą, jak pannę Eufrozynę z którą, mimo jej szpetoty, umiał być bardzo czułym... Miał ten

szczęśliwy temperament i usposobienie pan Maks, że dla niego dosyć było być niewiastą, aby zyskać jego względy...

Uśmiechał się i do panny Tekli, i do pani z Villamarinich, i do panny Eufrozyny i do Hermancyi i do służącej, która mu drzwi otwierała. Wszystkie nim były oczarowane.

Z tego powodu nawet wydziwić się nie mogły starsze panie, iż stosunkowo ta, która winna była zająć się nim najwięcej, w istocie była może dlań najobojętniejszą...

— Natura taka zimna! to darmo! mówiła panna Eufrozyna, ale to i lepiej!

I śmiała się ruszając ramionami.

Nikomu w świecie pewnie na złej pensyi lepiej nie było, jak pannie Tekli Sierocińskiej. Starano się jak najmocniej o to, aby jej na niczem nie zbywało, pieszczono, dogadzano, karmiono wyjątkowo, dawano swobodę wyłączną — a wszystko to przez poszanowanie dla jej domniemanego pochodzenia i dostatków, któremi ją umocowany nieznanych rodziców otaczał.

Mrok i tajemnicę, która okrywała pochodzenie bohaterki, starano się wszelkiemi sposobami rozproszyć — ale nie było środka przeniknąć co się w głębi tych ciemności taiło. Już samo opłacanie się tak starannie mówiło wiele.

Profesor Filipowicz rozumował, wnioskował i z matematyczną ścisłością, gdyż w potrzebie był i matematykiem — obrachował, że tak się kryć nie mógł kto inny, tylko wysoko w społeczeństwie położone osoby, które usiłowały jakiś grzech młodości, oczom ludzi złośliwych niedostępnym uczynić.

Było to tak bijącem, tak przekonywającem, tak oczywistem, wedle wyrażenia pana Filipowicza, iż niepodobna było nic innego nawet przypuścić.

To położenie wysokie tajemnicą okrywających się rodziców, dowodził zresztą dostatek, bogactwo jakie pannę Teklę otaczało.

Płacono za nią znacznie więcej niż za inne panny, osobno pozwalano brać lekcye u najdroższych i najlepszych nauczycieli — uczono muzyki, śpiewu, rysunku... i dosyć jej było czegoś zapragnąć, aby po niejakim czasie, Borusławski został upoważniony do sprawienia czego żądała. Oprócz tego obsypywano ją najwykwintniejszemi niespodziankami... Nie dziw też że na pensyi doznawała względów szczególnych, które się potem prezentami opłacały...

Pomimo tego dostatku i takiego starania o spełnianie wszelkich jej zachcianek, panna Tekla, o ile wnosić było można z jej humoru i usposobienia, wcale nie była szczęśliwą, dręczyła ją ta przedłużająca się tajemnica, to położenie dziwne i jakaś niepewna przyszłość, nieodgadniona.

Wśród myśli czarnych, któremi się karmiła—niejaką rozrywkę stanowiły zabiegi pana Maksa Rabsztyńskiego, była to nowość pochlebiająca może miłości własnej. Dozwalała mu panna Tekla wzdychać i prawić sobie nader niezręczne słodycze, uśmiechając się doń niekiedy, ale nie doznając żadnego bicia serca i uczucia niepokojącego. Pan Maks, o czem mówić nie śmiała, przypominał jej lalkę z magazynu fryzyera, przedziwnie uczesaną, białą, różową, i równie jak żywy kawaler mało mówiącą... Patrzała nań z ciekawością, szczególniej gdy on na nią nie patrzał, zadawając sobie pytanie, czy też wszyscy młodzi mężczyzni są równie mało znaczącemi lalkami, jak ta próbka.

Mając zupełną swobodę czytania co chciała, panna Sierocińska od lat ośmnastu karmiła się jak najfantastyczniej dobieraną strawą duchową. Była ciekawą. czytała wiele i bez wyboru... Umysł pojętny, osamotnienie zmuszające do pracowania nad sobą, wykształciły ją nad wiek.

Pani z Villamarinich miała jedną namiętność rujnującą, czytała ogromnie wiele i to samych romansów. Z czytania tego nie miała najmniejszej korzyści, bo zajmowała się niem, zupełnie tak jakby gryzła orzechy — ale poświęcała znaczną część dnia nałogowo tej lekturze, w której Paweł de Kock stał na równi z panią Sand, Chateaubriand z Munetem, Lamartine z p. Berthet, pp. de Gondrecourt z Arturem Houfraye.

Książek wiele pożyczała, ale kupowała ich też dużo... Trzymane były pod kluczem, w osiemnastym roku wszakże, klucz ten oddano w ręce pannie Tekli, znajdując że romanse stanowiły wcale nie złą propedentykę życia, z którego niebezpieczeństwami zaznajamiały. Panna Tekla czerpała z tej biblijoteki na której dnie zakopane były niebezpieczne produkcye końca XVIII wieku, o których właścicielka zapomniała. Obznajomiła się więc młoda panienka nader wcześnie ze światem i rzeczywistym i kłamanym... a obojgiem tak znużyła, że uciekała się później do poważnych naukowych książek, które ją więcej zajmowały. Karmienie się tak różnorodnemi żywiołami, bez przewodnika i porady, stworzyło w jej umyśle dziwną mieszaninę, w której o własnej sile nie umiała zaprowadzić porządku, jednakże czuła przynajmniej potrzebę jakiejś nici przewodniej i szukała jej.

Mimo wieku był to umysł daleko już może dojrzalszy i dalej sięgający niż to co ją otaczało. Czuła nicość tego co miała w koło siebie, nie okazując wcale wyższości swej i trzymając się w odosobnieniu. Nie otwierała się nikomu, bo wiedziała że nikt by jej tu niezrozumiał, a ona nikogo nie nawróciła.

Umiała być dobrą i łagodną dla pani z Villamarinich i panny Eufrozyny, dla wszystkich zresztą — gdyż i oni byli dla niej dobremi, a serce miała skłonne do przywiązania się.

Zarzucano jej tylko brak otwartości i chłód, ale z tych wyjść nie umiała, nie czując w swem otoczeniu nie sympatycznego dla siebie...

Jedyną przyjaciołką serdeczną (czemu się wszyscy dziwili i po trosze krzywili na to), była rowieśnica już także dwudziestoletnia, przychodząca na pensyę, której wychowanie było bardzo opóźnione panna Maryanna Rzepczakówna, córka ubogiego restauratora, powiedzmy otwarcie, szynkarza, którą rodzice ledwie nie ledwie potrafili umieścić na pensyi (długo jej przyjmować nie chciano) zapewniwszy się iż tajemnica stanu rodziców i pochodzenia panny, zostanie najściślej zachowaną.

Do przyjęcia panny Rzepczakówny przyczyniły się okoliczności natury czysto administracyjnej. Ojciec, którego córka zaklinała, aby się jej, jak mówiła, pozwolił uczyć „na guwernantkę" gotów był dla dziecka na wszelkie ofiary. Opłacał więc tolerancyę pani z Villamarinich nietylko w pocie czoła wypracowanym groszem, ale kontrybucyami *in natura*. Czyniło to niby łaskę, ale tę sowicie kazano zawdzięczać. Piwo dla pensyi dostarczał prawie *gratis*, niekiedy po trosze wina, a Filipowiczowi oprócz tego pod połą przynoszone — likwory.

Panna Rzepczak, która teraz była jedną z najlepszych uczennic na pensyi, do lat czternastu — niestety — posługiwała przy ojcu w restauracyi — dojrzała więc bardzo zawczasu, napatrzyła się wielu a wielu spraw ludzkich, niedostępnych dla innych dziewic jej wieku... i przeszła przez ogień życia, nim zaczęła szkołę...

Nie zaszkodziło jej to wcale, ale owszem dziwnie rozwinęło.

Panna Eufrozyna mówiła o niej że była nadto rozumną, bo w istocie spryt ognisty jej z oczów patrzał. Nie była wcale piękną, nie odznaczała się dystynkcyą żadną, młodość w pracy i biedzie spędzona, zdjęła z niej zawcześnie świeżość, rumieniec, wyraz dzieciństwa i dziewictwa — pomimo to Marysia miała w oczach czarnych i całym twarzy wyrazie urok niebezpieczny, pociągający, któremu mężczyzni szczególniej oprzeć się nie mogli. Słusznego dosyć wzrostu, blada, gibka, zręczna, silna, ręce miała zapracowane, duże i brzydkie, płeć śniadą — ale taki wyraz odwagi, siły i pewnego rodzaju ubogiej dumy, że wśród najpiękniejszych odciągała oczy. Było to prawdziwe dziecię ludu... któremu natura inteligencyą zapłaciła za to, czego mu dać nie mogła.

Raz dostawszy się na pensyę, gdy ją posadzono w kątku, zaczęła się uczyć wściekle — nauczycielki niecierpliwiła swoją roztropnością, pamięcią, a często zapytaniami na które odpowiedzieć nie umiały. Zwano ją z przekąsem — *pomywaczką...* ale wcale się za to nawet nie gniewała, śmiała się z przezwiska... Wiedząc iż inaczej jak zupełnem poddaniem się i pokorą na pensyi nie utrzyma—Marysia milcząc spełniała co jej kazano, znosiła ucisk i niesprawiedliwości, a tymczasem uczyła się i uczyła z chciwością wygłodniałej istoty, przed którą pokarm postawiono.

Nie dająca się przytłumić i zakryć wyższość ta biednej Rzepczakównej, nieprzyjemna dla innych towarzyszek, byłaby od dawna spowodowała wygnanie jej z pensyi — gdyby nie — jakeśmy rzekli — okoliczności natury administracyjnej. Piwo i likwory ojca mówiły za nią.

Wszyscy niemal znęcali się nad pomywaczką, może to było powodem zimnej pannie Tekli do zbliżenia się ku niej. Marysia dostąpiwszy tego szczęścia, że się do niej zbliżyła księżniczka, oddała się jej duszą i ciałem. Serca i umysły ich jakoś się prędko porozumiały. Marysia winna była temu szczęśliwemu wypadkowi, iż — jako przyjaciołka wybranej istoty — trochę względniej była traktowaną.

Śmiano się i dziwowano tej osobliwej przyjaźni, ale pani z Villamarinich — nie chciała się w niczem księżniczce sprzeciwiać. Dozwolono Marysi być przyjaciołką panny Sierocińskiej.

W wolnych chwilach Tekla zabierała ją do swojego pokoiku, dozwalała grać na fortepianie, sama nawet dawała jej lekcye, i — gdy się raz zbliżyły — nie miały dla siebie tajemnic. W godzinach gdy dobrze wiedziały że ich nikt podsłuchiwać nie będzie, siadały w kątku i opowiadały sobie wszystkie tajemnice swojego życia.

Marysi wspomnienia młodości były mocno zabarwione rzeczywistością; ale to w nich właśnie najzabawniejszem było dla Tekli. Godzinami całemi zapomniawszy o wszystkiem paplały bez końca. Pomimo roztropności swej księżniczka nie bardzo była biegła w odczytywaniu ludzi i ich charakterów, w tem znowu Marysia była dla niej nieoszacowanym przewodnikiem. Co ona przepowiedziała, wszystko się sprawdzało. Panna Rzepczak widziała jasno cały mechanizm i sprężyny pensyę poruszające — przez jej bystre oczy jaśniej też przejrzała panna Tekla.

Właśnie tego dnia po południu była rekracya; panna Rzepczakówna nie siadająca do stołu, przyniosła z sobą bułkę z kawałkiem szynki i jedząc ją czekała na przyjaciołkę, z którą czas po objedzie spędzić miała. Dla niej wyrzekła się domowego objadu. Tymczasem, zostawszy tu sama, przewracała książki, patrzała oknem w dziedziniec i zabawiała się jak mogła.

Ktoby ją tu był zobaczył wesoło z bułką w ręku podskakującą po pokoju, śmiejącą się sobie samej w zwierciadle, biorącej zuchowato pod boki, a pomimo

rubasznych ruchów, pełną jakiegoś rodzimego wdzięku dzikiego, odgadłby w niej może dziecko ulicy, które pierwsze swe zabawki płukało w rynsztoku. Wyglądała Marynia starszą niż była, zatem zupełnie rozwiniętą i dojrzałą... a mimo to była jeszcze prawie dziecinną, nauki jej zbliżały się do końca, spodziewała się zdać egzamina, dostać patent i ruszyć w świat — którego niebezpieczeństwa nie były dla niej tajemnicą. Może z tego powodu właśnie się ich nie lękała tak bardzo.

Wiedziała że zawód nauczycielki był drogą najeżoną kolcami — ale zawsze lepszym niż posługiwanie w restauracyi przy ojcu — od którego teraz wychowanie nowe niezmiernie ją oddaliło.

Szanowała tego tatusia — kochała go, ale jakże codzień bardziej biednym się jej wydawał. Rumieniła się czasem myśląc o nim... a można sobie wystawić uczucie jakiego doznawała, gdy powracając do domu znajdowała go napiłym, lub ze świeżej bójki okrytym sińcami i ranami...

Objad się skończył, panny wysypały z jadalni do sali rekracyjnej i po innych pracowniach swoich — i Tekla też wbiegła do swojego pokoiku, rzucając na szyję przyjaciołce... Przynosiła jej umiejętnie zachowany kawałek francuzkiego ciasta, który Marysia dziwnie po swej szynce zajadać zaczęła, śmiejąc się i dziękując.

Siadły obok siebie, Tekla spojrzała na wesołą, śniadą twarzyczkę swojego Kopciuszka. Tak ją czasem nazywała.

— Znudziłaś się czekając na mnie? zapytała.

— Trochę — ale, wszakże miałam zajęcie — jadłam moją bułkę, patrzałam w twoje zwierciadło, przewracałam książki, z okna przyglądałam się chłopcom swawolącym na ulicy, co mi moją własną łobuzowatą młodość mile przypominało... Niepowrotne lata...

— Żałujeszże ich?

— Troszkę — czasem... ale doprawdy sama nie wiem czemu... Dziś jestem w daleko świetniejszem położeniu, trzewiki całe, pończochy... koszula... zbytek wszelaki!! a jednak tęskno za owym chłodem i głodem. Musiałam już zestarzeć...

Rozśmiała się i mówiła dalej.

— Patrzałam w zwierciadło, co mi się rzadko trafia, bo na to nie mam czasu i dosyć jestem brzydka... Resztką młodości się świeci... ale mi z tem dobrze... gdy zostanę guwernantką uwolni mnie to od atencyi, które nieochybnie wszystkie moje towarzyszki spotykają... Już ty na mojem miejscu—ho! ho! Naprzód że dla twej pięknej buzi, niktby cię i nie wziął, chyba — wdowiec...

— A wiesz że mój opiekun, pan mecenas Borusławski, ciągle mi się każe na nauczycielkę przygotowywać...

— Po co ci to? Bałamuci — odparła Marysia... Jesteś bogata! Mówią umyślnie tak, abyś się uczyła... Tymczasem masz już teraz pretendenta...

Tekla trąciła ją ręką nic nie mówiąc i obie się rozśmiały.

(*d. c. n.*)

Wrażenia z włóczęgi po obczyznie.

(Dokończenie).

Włościanin jednak nawet się nie poruszył, woźnica woła po raz drugi i trzeci, zaczyna się gniewać, wreszcie spuszcza się z wozu i wybiera z kosza bułki.

— A to krogulec kieby nasz Walek! mruczy woźnica i zgarbiony, przychajczony jak pęk siana wlecze się ku furcie. Nie darował przecie głuchemu czy hardemu włościaninowi.

— Cóż to nie widzisz że poczta idzie? Stoisz hajdamaku zamiast poskoczyć do pocztylijona i rozdziawiasz gębę jak wrota. Żebym ino miał czas, to jakbym cię chwycił za *ozydla*, zarazbym cię nauczył co pocztylijon znaczy.

Włościanin chmurzy się, coś odgaduje z gniewem bo trzęsie rękami, następuje zwada, hałas się wzmaga i zapastnicy przyskakują do siebie. Woła jeden: sprobój! — powtarza drugi: a sprobój! bułki sypią się na ziemię, a powaśnieni trzymają się za ozydla przy gardłach.

— Józefie! wołam z wasąga, dajcie pokój, bułki oddajcie do furty i ruszajcie w drogę!

— Twoje szczęście, odpowiada Józef zbierając bułki. Gdyby nie to że wiozę *pasiazira*, nauczyłbym cię rozumu. Ale poczekaj, będę wracał niedługo, to i tak dam ci pocztylijońską pamiątkę.

— Cicho, stary chmyziaku, zamknij gębę! odpowiada włościanin opierając się ramieniem o ścianę klasztorną. Komu to komu udawać zucha? Żebym cię stary niedołęgo, jednym tylko palcem dobrze stuknął, tobyś się przykrył nogami.

Józef udaje że tych słów pogardliwych nie słyszy, burczy ciągle, dzwoni do furty, oddaje bułki i wsiada na wóz.

— Po co mi pan przeszkodził? zapytuje poganiając szkapiny. Jużem chciał zakręcić i buchnąć chłopa o ziemię, a pan woła.

— Miałem więc czekać aż się pobijecie?

— Ej! gdzieby on ta śmiał podnieść rękę na pocztylijona. Tak tylko hardził się. Wio! gniady wio!

Jedziemy około plebanji, wózek staje.

— A to co?

— Chleb oddam księdzu proboszczowi.

Wysuwa się z boku jakiś kościelny posługacz. Woźnica złazi z wozu wyszukuje bułkę chleba, oddaje ją, potem dopomina się o niuch tabaki, napycha nią nos ledwo że nie usta, rozpoczyna się rozmowa, czy Florencki jest w domu, czy koń gniady ozdrowiał, czy wszystko zebrali z pola, a ja siedzę i niecierpliwię się.

— Pocztylijon, jazda! wołam gromkim głosem.

Woźnica wykręca się, pospiesza ku wozowi, w drodze kicha, potyka się o kamień, i tylko tylko co nie runął na ziemię.

— A niechże cię! woła Józef siadając na wóz i znowu kicha z sykiem prochu spalonego na panewce.

— Zkądże was takie kichanie chwyciło? zapytuję.

— A toć to tabaka tak mi wierci w nosie.

— Czy do tabaki nie jesteście przyzwyczajeni?

— Jużcić nie, ale Maciej kościelny fabryczną używa tabakę, i nie przymyka tabakierki zaraz za palcami, więc jak się z nim spotkam, to zawdy dobrze sobie nos wypcham i potem mam zabawkę z kichaniem i nie tak mi się nudzi. Jak będę wracał z nadbrzeża wstąpię znowu do niego.

Podziwiając spryt pana Józefa nawet z zażycia tabaki umiejącego wyciągnąć zabawę, siedzę i myślę, a woźnica popędza szkapięta, wybiera boczne drożyny, wspina się przez rowy i wąkopy i sunie tak wązkim wałem że ćwierć cala zboczenia a wózek spadnie z wyżyny. Mimo tego woźnica batem wywija, konie galopują, wózek podskakuje, a wiele razy zawołam: Józefie ostrożnie, bo w rów nas wpakujesz! on uśmiecha się i nowego bodźca dodając szkapinom odpowiada:

— Niech się pan nic nie boi, jedziemy po pocztylijońsku a ja zęby zjadłem na furmaństwie.

Nadjeżdżamy wreszcie na szarwark naprawiający gościniec: dalszą drogę tamuje nam wóz z piaskiem. Józef krzyczy że pocztę wiezie, ludzie każą mu zjeżdżać w rów jak z pieca na łeb. Józef pokazuję trąbkę i chce w nią zadąć, ale ani rusz. Wydał wreszcie parę ryków, ludzie się śmieją a wóz stoi. Józef wrzeszczy że jest pocztylijonem i że mu wszystko z drogi powinno się usuwać.

— Kiedyś pocztylijonem to czemu nie trąbisz? pytają robotnicy.

— Cóż to, czy nie mam trąbki czy co? odpowiada Józef junakowato.

— A kaj trębacz?

— Zapomniał go wziąść z sobą, dopowiadam.

Robotnicy w śmiech i dalej żartować z jego stroju pocztylijońskiego.

— Daj go katu! co za kurtka z galonami na nim, że mu aż widać gołe piersi i plecy. Kaj rajtuzy skórzane kupiłeś a cholewy od butów to mu aż do brody zachodzą. A to mi pocztylijon, nikej raróg między ptakami...

— Albo strach na wróble! dodał drugi.

Józef cały podnosi się, prostuje jak może i woła na wóz zawadzający do dalszej drogi:

— Usuniesz się czy się nie usuniesz? Bo jak tam pójdę do ciebie, to ci pokażę pocztylijońską sztukę

Wóz porusza się, skręca troszkę w bok, zostawia pół drogi na wale wolnej, ale więcej ani odrobinki. Józef gniewa się, pragnie całej drogi, wszyscy wołają: jedź, jedź! bryczkę przytrzymamy! Józef jak mur nieporuszony.

— Mnie cała droga przypada, bo ja z pocztą jadę i *z pasazirem!* woła trzęsąc głową. Co, nie zjedziesz? zapytuje w końcu groźnie?

— Gdzież ci zjadę?

— A mnie co do tego.

— Jedź wolno to przejedziesz!

— A jak przewrócę a w skrzyni są listy z pieniędzmi, to co, he?

— A to będzie *hę!* odpowiada jeden z robotników.

— E! co tam z niemi będę w długie rozmowy zachodził, odzywa się Józef. Umykaj bo cię w rów wpakuję!

Pomimo groźby wóz stoi, robotnicy jedni się złoszczą, drudzy krzyczą, inni nareszcie żartują, czem wszystkiem zniecierpliwiony Józef woła:

— Niech ta pan dobrze się trzyma! Wio!

— Co robisz? zapytuję. Józef nic nie odpowiada, zacina konie, wóz rusza dość szparko, zawadza o coś przeciwnika i naraz jeden, oba wozy lecą w rowy z przeciwnej strony. Ja walę się na ziemię, przykrywa mnie fura słomy, pomiędzy konie wpada Józef, mnie uderza półgrabek a Józefa skrzynia. Kiedy nas podniesiono, ja chwyciłem się za nogę, Józef za głowę, ja się złoszczę, Józef stęka, ja siadam na półkoszu, Józef kuca na ziemi.

— Otóż mi pocztylijońska służba, z jękiem odzywa się Józef. Człek życiem jeszcze kiedy przypieczętuje, bo co to taką ciężką skrzynię zwalić sobie na głowę. O! moja głowo, moja głowa!

— Jakto? zapytuję z przerażeniem, skrzynia wam przycisnęła głowę?

— A tak, odpowiada Józef płaczliwym głosem, żeby jeszcze pacierz czasu toby była zgniotła, jak orzech. Aże mi szumi a oczy to mi całkiem zamroczyło i nic nie widzę.

Przeraziłem się; ludziska podnoszą wózek porządkują rzeczy, a woźnica mój podparty na obu rękach chwieje głową i stęka. Proszę więc dozorcy, aby dał jakiego pomocnika, coby dowiózł mnie do nadbrzeża i potem z chorym Józefem powrócił. Wysuwa się jakiś młody chłopiec z oświadczeniem że chętnie pojedzie: ubiera konie, Józef zyzem rzuca ku

niemu spojrzenie: chłopak bierze lejce i bat, Józef z wielkiem stękaniem podnosi się z ziemi: chłopak chce wsiąść do wózka, Józef odpycha go, wdrapuje się na kozioł i nie powiedziawszy nawet Bóg zapłać! odjeżdża. Po chwili jednak cichaczem ogląda się po za siebie, nie stęka już tylko coś mruczy.

— Czy was głowa już nie boli? zapytuję.

— Jednak psie nogi, musieli wszystko wyszykować jak należy, odpowiada Józef z pewnem zadowoleniem. Ho! ho! oni wiedzą co pocztylijon znaczy!

— Ale ja się pytam czy was głowa nie boli?

— A jakże ta z pana nogą? zapytuje Józef w miejsce odpowiedzi.

— Bogu dzięki jakoś dobrze.

— No, to i z głową moją dobrze, odpowiada Józef.

— A jakby z nogą było źle?

— Ha! toby i z głową było nie lepiej!

— Gdybym np. złamał nogę?

— A tobym buchnął na ziemię i omdlał.

— Nie rozumiem was mój Józefie.

Józef przekręca się ku mnie nieznacznie, przygląda raz, drugi, wreszcie uśmiecha się i odpowiada:

— Widzi pan po pocztylijońsku to różnie się zdarza, więc na wszystko trzeba baczyć. Jak raz kupiec z Tarnowa wpakował się w dół po ziemniakach i tam wybił sobie oko, to wtedy tak omdlałem że ledwo się mnie dotrzeźwili.

— A cóżeście robili przy kupcu z Tarnowa?

— No, juścić wiozłem go przy poczcie.

— Toście przewrócili także?

— Ej! nie, ino miałem szkapsko siwe, a to krogulec takie było narowne, co aże w głowę zachodziłem. Ja ciągnę ksobie a ono od siebie i bach wóz w dół. Oj! było wtedy termedyi, mnie to aże do szpitala zawieźli.

— I długo byliście w szpitalu?

— Ej! trzeciego dnia doktór mnie wypędził bo powiedział że mi nic nie jest, ale nie wróciłem do domu aże na trzeci tydzień, bo mi bez to oko kupca wypadło chorować i czekać aż ta wszystko przyschnie.

— I przyschło?

— Juścić przyschło i wlazło wszystko na gminę że drogi nie naprawiła, a o mnie nikt nawet nie trunął.

— Ale ja trunę o waszem niezdarnem pocztylijoństwie.

Józef spojrzał na mnie bacznie, a widząc że się uśmiecham, uśmiechnął się także i odrzekł:

— Albo to prawda, ja wiem co jaśnie pan nie taki plotka, bo jak kto pan z panów to na wszystko ma wyrozumienie. Gdybym ta jechał z byle kim, tobym se workiem głowę owiązał i stękał, ale z jaśnie panem inna sprawa. Jaśnie pana noga nie boli, a i mojej głowie nic się nie stało. Wio, gniady wio!

— Z tryngieltem jednak mój Józefie źle wypadnie.

Woźnica udał że uwagi tej nie dosłyszał, mruknął coś jednak, poprawił się i dalej nad koniętami wywijać batem nagląc je do szybkiego biegu.

— Ej! Józefie ostrożnie, wołam na woźnicę, widząc jak wózek toczy się po samych krawędziach drogi bocznej. Jeżeli szkapy wasze cal chybią z kolei wpadniemy w pierwszą lepszą kałużę.

— Nic nam nie będzie jaśnie panie, bo to konie jak szpaki co zawdy przy bydle a one przy kolei. Niech jaśnie pan myśli se ino o Małgorzatce, to w lot staniemy na miejscu.

— A cóż to za jedna ta Małgorzatka?

— No, juścić dziewucha, byle jaka aby pokaźna.

— To już podobno nie dla nas mój Józefie.

— Ej! najjaśniejszy panie, dziewuchy młode to taki towar, co nigdy się nienaprzykrzy.

Nowy szturm tytułem tak zaszczytnym do mojej szczodrobliwości kazał mi domyślić się, że stacya pocztowa musi być już niedaleką. Zapytałem zatem:

— Czy to nadbrzeże co tam bieleje między drzewami?

— A tak jaśnie panie, już dojeżdżamy. Wypadałoby zatrąbić, ale ten krogulec Walek na piękne trąbkę popsuł.

Dojechaliśmy wreszcie: w pięć minut rzeczy zostały przygotowane do przeprawy, konie pospuszczały łby przy wózku i dyszą bokami, Józef z gołą głową stoi przy nich, drapie się i patrzy na mnie jak żółw' w jaja.

Naturalnie, zaszczycony tak wielkiemi tytułami wyjmuję guldena i podaję Józefowi. Woźnica uśmiecha się, chowa pieniądz i z nizkim ukłonem dziękując dodaje:

— Ot! czy nie miałem racyi, że z dobrym panem nie należy się targować. Niech pan jedzie z Bogiem.

Rozstaliśmy się: ja obdarty z jasności, Józef zadowolony zarobkiem.

W godzinę później na drugim brzegu, proszę w urzędzie o konie z bryczką do O.

— Nie ma pana poczhaltera, odpowiadają mi, a choć są konie, ale nie ma pocztylijona bo pojechał z pocztą.

— Cóż więc zrobię? Dziś szabas, furmana nie najmę a koniecznie wieczorem muszę być w O.

Panowie urzędnicy coś poszeptali i powiedzieli wreszcie że furmanka zajedzie za pół godziny. Liczą należytość, mylą się, sprzeczają, wreszcie płacę. Ucieszony idę na kwaterę. Schodzi godzina furmanki nie ma. Ruszam do urzędu, pustki: wypytuję się o stajnię, pokazują mi i kiedy dochodzę do niej, wybiega chłopiec pocztowy oświadczając, że furmanki nie będzie bo choć konie są ale stajnię pocztylijon zamknął i gdzieś się tak zadział że go nie mogą znaleść.

Rozgniewany proszę jednego z żydków o wystaranie się koni z bryczką: przyrzeka mi i każe pół godziny czekać. Czekam zatem i bębnię po szybie w oknie, patrząc jak wieprzek wałęsa się po ulicy i z największym spokojem układa się w kałuży. Zbliża się do niego stadko gęsi, wieprzek się porusza, gęsi syczą, pies jakiś wpada na nie wytrząsając w igraszce starym chodakiem, i wszystko zrywa się na nogi i skrzydła z rechotem i gęganiem przeraźliwem.

Wtem przybiega do mnie jakiś oberwaniec i powiada, że pocztowa bryczka zaraz zajedzie. Zabiera na nowo rzeczy, wychodzę i spotykam faktora z mieszczaninem gotowym zaraz do jazdy. Pakuję mu więc dwuzłotówkę za fatygę, mieszczanowi ściskam rękę za zawód i idę wypić szklankę herbaty. Spiesząc się, parzę sobie usta, dmucham, przelewam, wypijam wreszcie, ale furmanki nie ma. Czekam godzinę, czekam drugą... zajeżdża wreszcie z tym samym oberwańcem co był zwiastunem upamiętania się poczty. Konie idą jakoś leniwo, oberwaniec nie ma bicza i pogania konie lejcami. Co powstanie z kozła i machnie niemi, konie szarpią a oberwaniec siada gwałtownie, przechyla się w tył i nogi zadziera do góry.

Uporządkowawszy siedzenie jako tako, wyjeżdżamy; oberwaniec na znak swej dostojności z trąbką przewieszoną, biedzi się z końmi i przeklina. Za murem parkanowym parobczak jakiś chodzi po szychcie drzewa i potrzaskuje biczem.

— Mój bracie, molestuje pocztylijon, pożycz mi bata, jakeś poczciwy.

Parobczak w miejsce odpowiedzi wywiesza język jak łopatę i odwraca się do nas plecami. Ucieszony że tylko na tem się skończyło, pytam się pocztylijona gdzie bat swój podział.

— A wziął mi Walek, bo ja proszę łaski pana jestem tylko półpocztylijonem, nie mam więc porządku jak wypada.

— Bez bata mój kochany nic nie zrobimy: konie macie jakieś leniwe.

— To nie nasze, to cygańskie, odpowiada półpocztylijon. Cyganów wsadzili do kryminału a do nas konie oddali pod opiekę.

Na rynku zatrzymujemy się: półpocztylijon obiega domy za pożyczką bata, ale zawsze wychodzi z próżnemi rękami. Robi więc przegląd wozów włościańskich na rynku stojących bez właścicieli, przetrząsa barłóg, podnosi worków, wypatruje na ziemi, widocznie pragnie kradzieżą przyjść do tego czego nie ma, ale zabiegi na nic. Wyjeżdżamy więc bez bata, lejcami półpocztylijon wykręca nad głową, co się zamierzy to konie szarpną a ja w tył i znów jedziemy stępo.

Ja się gniewam, półpocztylijon klnie, na szczęście spotykamy chłopca pędzącego bydło z pola z pięknym biczykiem nawet w rękojeści umalowanym.

Chłopczyna grzeczną prośbą zniewolony, i zapewniony o krótkiej podróży tylko do poblizkiej wioski, pożycza na szczęście biczyka i ogląda się na nas miłosiernie w przeczuciu zapewne że go już więcej nie zobaczy. Pędzimy więc tęgim kłusem: półpocztylijon chętnie wynadgradza koniom chwile okazanego oporu, a ja uszczęśliwiony że przecie już jestem w drodze, zaczynam dobierać się do moich zapasów pokarmowych. Chrupot przełamywanej bułki zwraca w tej chwili uwagę półpocztylijona: oblizał się.

Dobywam kiełbasy krakowskiej, półpocztylijon spogląda nieznacznie, kuli się w swem oberwanem ubraniu, bosemi nogami niespokojnie porusza, wzdycha, oblizuje dwa razy z takim apetytem, że aż mi żal się zrobiło wygłodzonego biedaka. Obdarzam go więc niezłą porcyą jadła, oczy mu się iskrzą że aż parzą, uszy trzęsą, szczęki pracują: daję mu drugą porcyą zjada wszystko bez oporu, choćby wołu całego, połyka resztki cielęciny a raczej gruchocze kości po niej pozostałe, skrawki z sera, okruchy chleba, wylizuje papier przesiąkły tłustością, ale poczciwiec poczęstunku wódką nie przyjmuje, powiedając że przyrzekł na spowiedzi wstrzemięźliwość.

Cztery mile przeleciałem dość śpiesznie na szczęście bez przypadku: koń żaden nie ustał, lon nie wyleciał, oś nie pękła, koło nie prysło. W tydzień później wracałem Kuryerką do Warszawy: w owe deszcze co w niektórych miejscach utworzyły potoki, do zalewów rzecznych podobne, deszcz lał ciągle tylko to mniejszy to większy a czasami zamieniał się w ulewę. Całą dobę jadąc, mokłem na przemian w karecie lub na bryczce zastępującej karetę, tylko z tą różnicą, że na bryczce deszcz zalewał mnie całego jak rybę, a w karecie spływał szparami. Na wskróś przemoczony z zamoczonemi rzeczami w tłomoczku, przybyłem wreszcie do Warszawy, przysięgając sobie w duszy, odbywać w biednym naszym kraju podróże wszelkiemi sposobami, konno, balonem, wodą, nawet pieszo, ale nigdy przy pomocy kuryerek i ekstrapoczt. I jakże tu dziwić się, że corocznie tłumy podróżników na letni odpoczynek wyjeżdża za granicę.

K. G.

RAGUZA, CATTARO I CZARNOGÓRZE.

Wycieczka do obozu powstańców hercegowińskich.

(Wrażenia pewnej damy angielskiej z podróży po słowiańskich krainach pod jarzmem tureckiem).

Ustęp z „The Cornhill Magazine."

(Dalszy ciąg).

Po skończeniu obchodu religijnego, nastąpiła uczta i tembola.

Rząd dał fundusz na trzy wygrane, a lud zapalony do loteryi zapomniał o swoim patronie i o modlitwie, cisnąc się tłumnie do koła fortuny; nastąpił hałas i wrzask nie do opisania.

Wyszła nareszcie główna wygrana, dwieście kilkadziesiąt reńskich: skutkiem uprzedniej umowy, rozdzielano między wysłańca z obozu wodza powstańców, Peka, i jakiegoś żołnierza austryjackiego. Widząc tak obu stojących obok siebie, można było wziąść ich za przedstawicieli dwóch potęg ubiegających się o władzę nad temi krainami; jeden, Słowianin, skrępowany więzami cywilizacyi, wolny i swobodny w ruchach; drugi, posłuszny mechanicznym poruszeniom, dowodzącym przymusowych ćwiczeń i praktyki. Po skończonej loteryi, wieśniacy poszli po swoje chorągwie i znowu przechodzili główną ulicą powtarzając ranne pokłony, i może z większym jeszcze zapałem, dzięki pewnej dozie podbudzających trunków spożytych w ciągu dnia. Ale nie był to jeszcze koniec uroczystości; wieczorem miał się odbyć wielki bal w teatrze narodowym, na który zamówiliśmy sobie lożę.

Zabawa rozpoczęła się o ósmej wieczorem. Na scenie stało dwóch muzykantów trzymających w ręku skrzypce po jednej tylko mającej strunie, z których starali się wydobywać najrozmaitsze dźwięki. Od czasu do czasu, gdy strudzone ręce odmawiały im posłuszeństwa, dopomagali sobie nogami, podbudzając zapał tancerzy energicznem uderzeniem stopami w podłogę. Co do tancerzy nigdy nie zdarzyło mi się widzieć tak zapalonych zwolenników Terpsychory; obracali się i kręcili na miejscu jak derwisze, klaszcząc w dłonie i wydając przeraźliwe krzyki, oraz chwytając się wzajemnie, już to w pół już za szyję; taniec ten wyglądał jak sabat furiatów; patrząc nań można było dostać zawrotu głowy. To też około dziewiątej opuściliśmy teatr nie czekając końca; wychodząc ujrzeliśmy przed drzwiami gromady wychodźców, nie będąc w stanie zapłacić wejścia na salę, korzystali z każdego otwarcia drzwi aby choć zajrzeć do wnętrza.

Raguzanie przechowali dotąd po włoskich swoich przodkach, pewne liberalne zwyczaje i obyczaje. I tak politycy i różne miejscowe znakomitości, po dziś dzień schodzą się albo w biórze jakiegoś bankiera albo nawet w golarni lub w aptece, aby rozprawiać o najważniejszych sprawach bieżących; z początku wydawało nam się to bardzo dziwnem, aby poważni mężowie rozprawiali o sprawach państwa goląc brody, w końcu jednak oswoiliśmy się z tem i sami często wstępowaliśmy do najpierwszej golarni, dla usłyszenia najświeższych wiadomości z placu boju.

Ztamtąd udawaliśmy się do bankiera, utrzymującego bióro przy placu targowym, gdzie niekiedy przychodzili wodzowie powstańców, dla zaopatrzenia się w żywność i pieniądze. Gdy się który ukazał, przerywano pracę, słuchając chciwie opowiadań o ostatniej bitwie, które tak żywe budziły wrażenie, iż z wzrokiem wlepionym w opowiadającego bohatera, zapominało się o wszelkich interesach; nawet o zmienieniu naszych weksli na monetę krajową.

Wycieczki w okolice Raguzy są nader zajmujące.

Do najciekawszych miejscowości należy wyspa Croma, na której długo przemieszkiwał z żoną nieszczęśliwy cesarz Maksymilijan; leży ona o pół mili od portu. Początkowo należała do Klasztoru założonego przez Ryszarda Lwie-Serce, króla Anglji, który zaskoczony burzą na Adryatyku w powrocie z Ziemi Św., znalazł tu schronienie. Z biegiem lat zakonnicy się rozproszyli i nareszcie Maksymilijan kupił wyspę. Umiał spożytkować ruiny starego klasztoru, dobudował jedno nowe skrzydło i zgliszcza zamieniły się w ładną letnią rezydencyę. Ze ściśnionem sercem zwiedzaliśmy apartamenta zajmowane dawniej przez tego powszechnie żałowanego księcia i nieszczęśliwą cesarzową Karolinę. Obecnie całą wyspę Croma, wraz z tym domem, nabył jakiś szlachcic z Triestu, za nędzną sumę 45,000 reńskich. Pozostawił wszystko jak było za czasów Maksymilijana; w gabinecie jego do dziś dnia leży na biórku *buwar* i kałamarz w którym atrament zasechł; po nad biórkiem wisi wielka mapa Meksyku. Jakże to często zapewnie przyszły cesarz rozpatrywał się w tej mapie, nie domyślając się jak straszny los czeka tam jego i jego małżonkę. Ah! czemuż wyrzekł się cichego szczęścia, dla łudzącego blasku cesarskiej korony...

Godne są także widzenia młyny wznoszące się po nad rzeką Omblą; udając się tam przebywaliśmy śliczną i rozkoszną okolicę, ocienioną kwitnącemi drzewami migdałowemi i pomarańczowemi. Zwróciliśmy uwagę na rodzaj rośliny pokrywającej całe rozległe pola, kwitnące żółto tuż przy ziemi; z rośliny tej wyrabia się znany perski proszek przeciw robactwu, i stanowi ona jeden z głównych artykułów raguzańskiego handlu. Mylne zatem jest powszechne mniemanie jakoby sprowadzano go aż z Indyi.

Przy ujściu rzeki oczekiwał na nas statek; użyliśmy na nim rozkosznej przejażdżki wzdłuż zachwycających wybrzeży. Żyzne zielone łąki pochylały się aż ku brzegom rzeki; szczyty stromych gór Hercogowińskich zamykały horyzont, a gdzie nie gdzie wyłaniała się piękna dolina, w niej wioska rybacka i mury jakiegoś klasztoru. Wielka szkoda że szlachta i bogacze raguzańscy na letnie mieszkania przenoszą się w głąb kraju, skutkiem czego większa część nadbrzeżnych willi stoi pustkami. Jedna z nich szczególniej zwróciła naszą uwagę; murowane wschody mchem porosły, loggia malowana alfresco stała pustkami. Porównanie dawnej świetności Raguzy z dzisiejszym jej stanem, przykre sprawia wrażenie.

Jakże piękny przedmiot do obrazu nastręczają artyście wybrzeża Ombli! W każdym prawie domu znajduje się okno byzantyńskie lub brama rzeźbiona w najdelikatniejsze arabeski. Ktoś z naszego gronka, podniosłszy wzrok ku niebu, postrzegł i zdziwiony wskazał nam małe stado jastrzębi, szybujące w powietrznych przestrzeniach.

— Co to znaczy? zapytaliśmy.

— Co, odrzekł nasz przewoźnik, oto ptaki te czychają na zdobycz czekającą ich na polu bitwy, stoczonej przedwczoraj.

Po dwugodzinnej przejażdżce, dopłynęliśmy do starych młynów, zbudowanych na źródłach Ombli. Gromadka domków hercogowińskich uzupełniała piękny krajobraz, gdyż właśnie przekroczyliśmy granice ziemi powstania. Liczna trzoda kóz i owiec pokrywała okoliczne wzgórza; pilnowały jej kobiety chroniące się tu z nią przed łupieztwem Turków.

Zwiedziliśmy także znaną Canozę (Kanozę). Przebyliśmy powozem blizko ośm mil drogi, wśród najpiękniejszych widoków dalmackich wybrzeży. W wiosce tej znajdują się dwa platany, jak mówią największe i największe w świecie, liczące przeszło trzysta lat wieku.

Trafiliśmy na jakąś uroczystość miejscową; ślicznie wyglądały wiejskie dziewczęta, w różnych jasnych kolorowych sukniach z białemi fartuszkami. Proboszcz miejscowy jest znanym i ulubionym poetą; ileż to razy wojenne jego pieśni wzruszyły i podniosły serca jego rodaków. W chwili naszego przybycia grał w kręgle, z równym zapałem jak najprostszy jego parafianin. Po skończonej grze, usiadł i zaczął mówić jakby kazanie; nie wykładał jednak bynajmniej chrześcijańskiej zasady pokoju i przebaczenia i gdy tylko wspominał o Turkach, nienawiść jego dla nich nie znała granic. „Arcybiskup nasz, mówił między innemi, powiedział jednemu z moich kolegów, że obowiązkiem jego jest modlić się i pilnować ołtarza, zostawiając żołnierzom walkę z Turkami; gdy mi to oznajmił pytając co ma począć, wyprawiłem go do szeregów powstańczych, walczyć w obronie ojczyzny i wiary."

Patrząc na tego pasterza i jego owczarnię, widać było że ożywiał ich jeden duch, jednakie uczucia.

(d. c. n.)

KORESPONDENCYA Z KRAKOWA.

(Dokończenie).

Pisząc o krakowskich artystach niepodobna nam pominąć Obrazu Benedyktynowicza (*) „Przy śpiewie słowika", który niedawno pomieszczonym był na Wystawie wiedeńskiej w Künstlerhaus'ie. Jest to, że się tak wyrazimy sielanka odgrywająca się wśród cichego majowego wieczoru na brzegach bujnie rozrastającego się lasku. Na pagórku porosłym wrzosami i macierzanką, wśród malowniczo porozrzucanych tu i owdzie sinawych kamieni, zasiadło towarzystwo złożone z kilku osób, celem posłuchania dolatującej z gęstwy przyległego gaiku słowiczej piosenki. Na obliczach pięknych słuchaczek osiadł pod wpływem uroku tej chwili odcień lekkiej zadumy: rozkołysana wyobraźnia wdziękami wiosny snuje złotą nić marzeń, a pod rąbkami lekkiego okrycia zda się widzieć piersi falujące zachwytem, czuć oddech wciągający woń kwiatów i drżących pod powiewem akwilonu liści drzew. Cały dół obrazu pogrążony jest w cieniach, u góry tylko ostatnie promienie zachodzącego słońca ozłacają kilka pni i konarów, a przez szczeliny zielonych gałązek srebrzy tarcza podnoszącego się zwolna z pod lasu księżyca. Obraz ten nieokreślonym urokiem przyciąga do siebie widza, w wykonaniu zaś jego widać głębokie studya i sumienną pracę. Wszystko w tym obrazie począwszy od chwiejących się pod podmuchem wiatru liści aż do obrobienia figur, wykończonem jest z zamiłowaniem prawdy i sumiennością, dla tego też utwór wspomniony zyskał nietylko uznanie rodaków, ale jednogłośne pochwały prasy wiedeńskiej.

(*) Zadziwiającą jest rzeczą że p. Benedyktynowicz, którego utwory takie zajęcie budziły, nie posiada obydwóch rąk. Co jednak zdawałoby się nam trudnem do uwierzenia, gdybyśmy się o tem od wiarogodnych osób nie dowiedzieli, to fakt, że artysta wspomniony dopiero po utraceniu tych, o ileby się zdawać mogło, nieodzownych członków ciała dla malarza, powziął zamiar kształcenia się w obranym zawodzie. Każdy może będąc w Krakowie przekonać się naocznie, co zdoła dokonać silna wola i wytrwałość, która rurkami żelaznemi zastępuje palce, a sztabkami stawy i ściągacze u rąk.

Przypisek Sprawozdawcy.

Oprócz wyżej wymienionych widzieliśmy tam jeszcze kilka płócizn nie bez zalet; jeżeli nie wspominamy o nich to jedynie dla braku miejsca.

Tyle co do wystawy. A teraz słówko o kilku najnowszych pracach artysty-malarza, który zajmuje jedno z najwybitniejszych stanowisk w dziejach nowoczesnej sztuki. Chcemy tu mówić o hr. Stanisławie Szembeku. Przybywszy do Krakowa słyszeliśmy o tych utworach od kilku znawców, lecz ponieważ p. Szembek nie przedstawił dotąd takowych publiczności, powzięliśmy zamiar zwiedzić jego pracownię.

O kilka wiorst od Krakowa, po za rozsianem nad brzegami Wisły miasteczkiem Podgórzem, w cienistem gaju drzew, jest rozkoszna willa nazwiskiem „Bonarka", własność młodego artysty. Tam udaliśmy się. Nie będziemy opisywać Wam tego cichego ustronia, w którem sztuka podała ręce naturze ażeby uprzyjemnić rzeczoną miejscowość, powiemy tylko, że ujrzawszy nieznane dotychczas ogółowi dzieła p. Szembeka, doznaliśmy wrażenia prawdziwego zachwytu. Mamy niezłomne przekonanie, że utwory te wyszedłszy z pracowni w świat szeroki, zostaną należycie ocenione przez znawców, krytyków i lubowników estetycznego piękna, nim jednak to nastąpi postaramy się zapoznać z nimi choć pobieżnie naszych czytelników. Pomiędzy mnóstwem szkiców i niewykończonych jeszcze robót, których wymienienie byłoby dziś przedwczesnem, mieliśmy sposobność oglądać dwa obrazy niepospolitej wartości. Zaczniemy od płótna większych rozmiarów. Nie ma tam licznych grup ani tłumu figur; artysta nie sadził się nawet na żaden sztuczny efekt w kolorycie, łamiąc promienie słońca nad głową swojego bohatera cieniem przepływającej chmury wśród błękitu niebios, a jednak pomimo tej skromności użytych środków, obraz budzi wielkie zajęcie tak typowością przedmiotu jak i pełnem siły wykonaniem. Rzecz wzięta z odległej epoki, z owych czasów w których ludzie nie znali jeszcze cywilizacyjnych sposobów niszczenia prochu, kul i ołowiu. Z gęstwiny splątanych liści i łodyg sitowia, wynurzyła się postać ogorzałego chłopca podnoszącego z tryumfem ubitego strzałą samorodnego łuku bociana. Upolowana zdobycz nie mało zapewne pracy i zachodu kosztowała małego myśliwca, nim był on w możności tak blizko ją podejść, ażeby z prostego łuku w pierzastą pierś ugodzić. W ruchach jego zgadujemy użytą poprzednio przebiegłość, z jaką skradał się ukryty wśród zwojów oczeretu dla zmylenia ostrożności czujnego ptaka: to też uśmiech tryumfującego młodzieniaszka promienieje radością z dokonanego zwycięztwa. Wykonanie tego obrazu jest znakomitem. W figurze naturalnej wielkości rysunek pełen wdzięku i poprawności, malowanie szerokie i śmiałe oddające z zadziwiającą prawdą najsubtelniejsze odcienia natury: oto są przymioty odznaczające utwór pana Szembeka, utwór który godnym jest figurować obok takich mistrzów jak Bretan, Regnault lub Gérome w zakresie malarstwa rodzajowego, przy najpoważniejszym jego kierunku i stylu. Drugiem dziełem zasługującem na wszechstronną uwagę, jest portret matki autora. Z niego wielu naszych portrecistów mogłoby przekonać się naocznie, jak wielkie rezultaty skromnemi na pozór środkami osiągnąć można. Portret z widocznem malowany zamiłowaniem, odznacza się rzadkiem podobieństwem i niewysłowioną prostotą w całym układzie; koronki przy czarnej sukni przysłaniając cokolwiek prawą rękę, wykończone są z sumienną dokładnością. Ci z artystów, którzy w odtworzeniu twarzy mniej lub więcej znanych osób, zadawalniają się tylko uchwyceniem podobieństwa rysów, choćby nawet przy najrzetelniejszem wykonaniu szczegółów, lecz nie umieją wlać w swoje prace owej prawdy, owego tętna życiowego drgającego w każdym niemal muskule ciała, mogliby się jeszcze wiele nauczyć pod tym względem od p. Szembeka, którego dwa wyżej wymienione dzieła w rzędzie pierwszorzędnych tegoczesnych artystów bez zaprzeczenia stawiają.

Cóż Wam powiemy więcej? Opuściliśmy Bondarkę żegnając serdecznie uprzejmego gospodarza i przesyłając ostatnie spojrzenie nagromadzonem tamże skarbom sztuki. Wkrótce opuścimy tęskny, smutny, poważny Kraków i podążymy w świat szeroki szukając nowych wrażeń, nowych ludzi, nowych wypadków; wspomnienie jednak o starożytnym grodzie w którym znękaną myśl moją tak uroczo ukołysała sztuka, na długo pozostanie w pamięci wędrowca.

Kraków, d. 1 Listopada 1876 r.

Ludwik Niemojowski.

Przegląd literacki.

Biblijoteka Warszawska, lipiec, sierpień i wrzesień, 1876 r.

W lipcowym zeszycie znajdujemy drugi odczyt p. Tarnowskiego o komedyach Fredry, jaskrawy, błyskotliwy, czasem świetny, ale w druku znać pewny pośpiech ustnego wykładu, niekiedy brak gruntowności w wywodach, cokolwiek zaniedbania w formie. Potwierdza to stara prawda, że mówić i pisać, choćby jedno i to samo, trzeba cokolwiek inaczej, i że wrażenie z dorywczego odczytu na prędce wyniesione może niecałkiem się zgadzać z wrażeniem przy późniejszem uważnem odczytaniu tej samej pracy w druku.

Przez wszystkie trzy zeszyty ciągnie się komedya Augiera „Gabryela" w przekładzie p. Kaszewskiego. Komedya to wytworna, bardzo przyzwoita i salonowa; tłomaczenie p. Kaszewskiego umiejętne i gładkie, ale z tem wszystkiem nie radzibyśmy na kartach czasopisma poważnego spotykać komedye, a tymbardziej tłomaczone.

W zeszycie lipcowym „Szkice ekonomiczne i pedagogiczne" p. Kawczyńskiego zawierają niewątpliwie wiele trafnych uwag, porównań i zbliżeń ekonomji z pedagogią; znajdujemy tu także nieco ważnych danych statystycznych, ale to wszystko tak jakoś zebrane i zestawione bezładnie i niesystematycznie, że trudno bez znudzenia i pewnego zmęczenia przeczytać te szkice. Główna myśl autora nie jest wolną od paradoksów. Oto znajduje on, że nauka czytania i pisania niekoniecznie jest pożyteczną dla ludu wiejskiego: pierwsze jakoby prowadzi ludzi nieoświeconych do socyalizmu, komunizmu, a drugie — do mistycyzmu i pieniactwa. Ztąd wniosek, że nie czytanie i pisanie powinno być na pierwszym planie w szkole ludowej, a tem mniej reszta nauk jak arytmetyka, geografija i t. d. Cóż tedy? Oto główny-mi przedmiotami w szkole powinny być rolnictwo i rzemiosła, a nauka czytania i pisania może być tolerowaną, ale nie od niej zaczynać, lecz na niej kończyć potrzeba. Oryginalny to pomysł, a dziwny już choćby dla tego, że nie masz na całym świecie szkoły jakiejbądź i czegobądź, gdzieby nie była potrzebną najpierwej nauka czytania i pisania, jako pierwszy fundament i niezbędne narzędzie. Autor skarży się, że szkoła ludowa ma jakieś cele *literackie* (?) prowadzi *do literatury*, a rolnictwo i przemysł pozostają w upadku. Ale czy temu winna nauka czytania, czy szkoły rolnictwa i rzemiosł zaradziłyby złemu, wypływającemu z wielu ważnych przyczyn? O to autor nie troszczy się wcale. Przypomnimy mu więc tylko, że szkoła poczynająca od elementarza, ma cele nie literackie, lecz *humanitarne*, to jest przede wszystkiem daje dziecku *środek* duchowego kształcenia się na *człowieka* drogą, jaką od wieków ludzkość obrała. Przede wszystkiem *człowiek*, mający jasne wyobrażenie o świecie, w którym żyje, o sobie i zadaniach swego życia, a potem już *rolnik, rzemieślnik, artysta*. Można u nas znaleść jeszcze doskonałych rolników i dobrych rzemieślników ciemnych, jak tabaka w rogu: może na tym fakcie oprzeć się autor w dowodzeniu, że aby być dobrym rolnikiem lub rzemieślnikiem, nie trzeba umieć nawet czytać, ale czy takie jednostronne poglądy zasługują dziś nawet na zbijanie? Autor mówi, że nie usuwa całkiem nauki czytania i pisania, ale chce ją łączyć z wykształceniem fachowem! Na to zgoda, ależ szkoła, a zwłaszcza ludowa, podołać temu zadaniu nie jest w stanie. Wypadłoby więc zdecydować się na jedno, a więc chyba pozbyć się owego żywiołu *literackiego*. Jeżeli o to chodzi autorowi, to i szkół nie potrzeba: przecie u każdego rzemieślnika uczą się terminatorowie, wolni od wszelkiego żywiołu *literackiego*, a parobcy wiejscy i fabrykanci obeznają się z rolnictwem niewątpliwie lepiej niż z wykładów jakiegobądź pedagoga. Autor w pomysłach swoich występuje jako zwolennik realizmu nawet w szkołach ludowych; wkrótce może posłyszymy o potrzebie podziału szkoły elementarnej na fakultety — do tego już krok tylko. Nie obwiniamy autora o złe chęci, ale o niedojrzałość poglądów; dziwimy się tylko że te chaotyczne i niewytrawne pomysły znalazły przyjęcie na kartach Biblijoteki.

W zeszycie sierpniowym mieści się zajmujący artykuł p. Smorczewskiego „Obrazy z Czech". Autor, podobnie jak w swoich „Listach z Czech" drukowanych dawniej w Gazecie Polskiej i w osobnej książce, zajmuje się przeważnie obrazem gospodarczych i przemysłowych urządzeń i objawów w kraju czeskim, który szczerze, jak widać umiłował. Nie mamy nic przeciwko temu; przekonani nawet jesteśmy, że w Czechach nieskończenie wiele rzeczy, a nawet może i wszystko jest lepsze niż u nas i że dla pobudzenia emulacyi i wystawienia dobrego przykładu, należy dawać naszym czytelnikom wizerunki tego, co u obcych jest lepszem i naśladowania godnem, ale z tem wszystkiem, zdaje się że pan S. zanadto optymistycznie zapatruje się na Czechy. Zdawałoby się, czytając jego Listy i Obrazy, że bajeczne Eldorado urzeczywistniło się w Czechach: wszystko tam tak rozumnie, porządnie i w stanie kwitnącym, a jednak znając trochę ten kraj, wypada przyznać że i tam nie ma raju: waśni i spory dwóch narodowości, walki stronnictw, wpływy obce, ścieranie się katolicyzmu z wskrzeszonym husytyzmem, marzycielstwo polityczne i średniowieczne pretensye Czechów, zamieszkujących kraj swój, bądź co bądź, prawie nawpół z Niemcami, dalej bankructwo i upadek przemysłu w ostatnich latach, trudność o pieniądz — oto odwrotna strona medalu. Nikt temu nie przeczy, że pan S. opisuje wiernie to co widział; ale grupuje tylko fenomena dodatnie, którym każe rzucać światło zbyt bezwzględnie różowe na cały kraj i jego ludność.

(d. n.)

O ubiorach.

W dzisiejszem sprawozdaniu podajemy szczegóły odnoszące się do okryć i salop — jako stanowiących w obecnej porze główny przedmiot zajęcia.

Fasony okryć są różnorodne, główną jednak różnicę stanowi długość; powszechnie noszone są paletoty formą polonez, wcinane z tyłu, z przodu zapinane na dwa rzędy

guzików; niektóre sięgają do kolan, inne zaś mniej wcinane paletoty dochodzą aż za kolana. Pokrycie po większej części dane z matelassé w drobny desenik; modne jest również draps velours i wigoń. Na dnie zimniejsze wszelkie materyały wełniane byłyby za lekkie, niezbędnem jest podszycie ich futrem.

Co do salop to paryżanki cieszące się cieplejszym klimatem wcale ich nie używają i dla tego form na nie w dziennikach zupełnie nie znajdujemy. O wszelkich zatem podobnych okryciach zmuszeni sami myśleć, nie rozstając się z szubami, używamy jak dawniej salop długich i obszernych. Tego roku robią szuby z wciętemi plecami ale mody tej nie uważamy za praktyczną.

W okryciach na futrze bez porównania trudniej dobrze dopasować formę niż w letnich, gdyż warunkiem jest niezbędnym aby wcięcia choć w futrzanych luźniejsze, leżały jednak gładko. Okrycia które przeglądaliśmy w magazynie p. Matuszewskiego przy ulicy Miodowej posiadały tę główną zaletę, a długie i ciepłe paletoty z plecami wciętemi do figury, podwatowane i podszyte futrem powierzchownie nie różniły się prawie od zgrabnych letnich okryć.

Oglądaliśmy nadto zgrabne paletociki formą polonez lub puszczaną, podbite futrem a pokryte aksamitem z kołnierzem futrzanem i takiemż oszyciem przy rękawach; inne objęte były na około i wzdłuż przodów futrem, z futrzanemi klapami przy kieszonkach. Ceny nie podajemy gdyż ta zależy od rodzaju futra, jakiem okrycie jest przybrane i podszyte. Do aksamitnych najwięcej używane są tumaki, lisy niebieskie i bobry kamczatskie. Bardzo nas równie zajęły paletociki futrzane pokryte matelassem w gatunku grubszym pod który pod futro nie dodaje się waty lub wyrobione z lżejszego matelassu na wacie i futrze, z kołnierzem i wykładami futrzanemi z dodatkiem przy niektórych ozdobnych kieszeń z ciężkiej materji, cena wynosi 35 rs.

Do okryć aksamitnych przygotowane były z aksamitu i odpowiedniego obłożenia futrem, eleganckie kapelusiki lub czapeczki i mufki. Na wzmiankę zasługuje także strojny garnitur z wigoniu angielskiego, perłowego koloru zdobny szinszelami. Składał się on z paletociku niezbyt długiego, u dołu wyciętego w proste zęby objęte ciemniejszym aksamitem, po nad któremi, szła szeroka plisa futrzana; kieszonki i rękawy zdobne były plisą wyciętą w zęby i obłożeniem z futra. Ciemniejsze kamienne guziczki dopełniały przybrania, do którego kapelusz formą toczka, z ciemnego perłowego aksamitu, miał główkę otoczoną futerkiem a mała mufka aksamitna z brzegów szerokie futrem oszycie.

Oprócz gotowych okryć i salop a raczej szub pokrytych materją jedwabną lub wełnianą magazyn ten posiada znaczny wybór futer w błamach tudzież garnitury damskie t. j. mufki i kołnierze, z wyborowych futer jak: sobole, tumaki, lisy srebrne i niebieskie, lub z mniej kosztownych. Lżejsze okrycia bez futer lecz z grubych i ciepłych materjałów przeglądaliśmy u p. Rutkowskiej przy ulicy Miodowej. Magazyn ten zaopatrzony jest w świeży transport okryć zagranicznych po wyższej cenie i w okrycia wykończane podług modeli w miejscowej pracowni, których cena o wiele jest niższą przy równie starannem i gustownem wykończeniu. Polonezy przybrane szerokiemi taśmami matelassé, zapinane dwoma rzędami szmuklerskich guzików sprzedają się po 33 rs., krajowe po 20 rs. Kaftaniki z draps velours zagraniczne po 22 rs. a wykończane w magazynie po 10 rs. Bardzo ładnie przedstawiają się półpolonezy przybrane naśladowaniem srebrnych lisów, z takiemże boa na szyję cena ich wynosi 33 rs.

W powyższym magazynie przygotowano, na obecną porę bardzo gustownei podług świeżych fasonów wykończone suknie z kaszmiru, matelassé lub popeliny. Kaszmirowe suto przybrane plisowanemi falbankami u dołu sukni i przy vêtement i podpinane kokardami z wstążki są po 33 rs. inna suknia z ciemno-granatowego matelassé zdobna plisowaną i marszczoną falbaną u dołu, miała vêtement formą princesse, zakończone szeroką jedwabną plisą i fantazyjnie z tyłu podpiętemi trzema z materyi kokardami cena 38 rs. Popelinowe suknie są po 24 rs.

Przy teraźniejszych kapeluszach osłonięcie głowy jakąś zarzutką stało się niezbędnem. W nowo założonej pracowni przez panią A. Korsak przy ulicy Freta Nr. 35 wyrabiają odpowiednie na ten cel chusteczki w różnych kolorach, które na żądanie mogą być upięte w kapturki. Cena chustek zastosowana do wielkości, wynosi mniej więcej od 2 do 3 rs. chustki te służyć mogą nietylko na głowę ale jako okrycie w domu lub pod paletocik.

Ceny upiętych kapturków nie podajemy, zależy ona od gatunku i ceny wstążki lub aksamitki wziętej na kokardy. Kapturek podszyty jest materją lub fularem, albo wprost z chustki upięty.

Kaftaniki włóczkowe bez rękawów (kamizelki) wykończają się na żądanie podług figury. Kamasze dla osób dorosłych i dzieci od 50 kop. — 75 kop. Ciepłe pończochy kolorowe od 75 kop. para; skarpetki wełniane i wigoniowe po 75 kop. Pończochy bawełniane tuzin od 6 — 8 rs. mniej więcej; skarpetki od 4 rs. tuzin. Pończochy i skarpetki jedwabne wykończają się wrazie obstalowania.

Oprócz powyższych wyrobów przyjmuje także pani Korsak bieliznę do szycia i znaczenia i wszelkie hafty. Ceny znaczenia bielizny są bardzo umiarkowane odpowiednio do ładnego wykończenia, a wybór cyfr i monogramów znaczny; najmodniejsze monogramy są przecinane w środku koroną zupełnie w nowym rodzaju, podłużne tak zwane *lettres monstres* w wielkości odpowiedniej na chustki, poszewki lub bieliznę stołową. Cena monogramów na chustkach płóciennych od 15 kop. z koroną od 20 kop.; na batystowych od 50 kop. Co do batystowych to ceny stale niepodobna oznaczyć, gdyż na nich ozdobna cyfra może zająć cały róg chustki. Dwie gotyckie litery w jednym kolorze kosztują 5 kop. Ładnie wykończone dwoma kolorami w fantazyjnem otoczeniu z cugów litery na poszewkach zgodzone były po 25 kop. od znaku.

NOWE WYDAWNICTWA.

Dzieł Klementyny z Tańskich Hofmanowej, nakładem współki księgarzy w Warszawie wyszedł tom IX i zawiera: „O powinnościach kobiety względem siebie i względem drugich.“

Loteryjka z historyi naturalnej wyszła na widok publiczny i sprzedaje się we wszystkich księgarniach po rs. 1 za egzemplarz. Jest ona ułożona na sposób zwykłej loteryjki z tą tylko różnicą, że na tabliczkach grającym zwykle rozdawanych, obok numeru znajdują się jeszcze całkowite wyobrażenia rozmaitych zwierząt, ptaków, ryb, gadów a nawet i roślin niektórych. Ogłaszający więc wyciągnięte losy, nie ogłasza numerów, ale nazwiska zwierząt, które grający wyszukawszy na posiadanej tabliczce, przykrywa. Kto pierwszy zakryje całą tabliczkę ten wygrywa, dla pewności jednak każdy wymienia numer znajdujący się przy rysunku zwierzęcia, a ciągnący losy porównywa go z numerem na losie pomieszczonym. Jest to nowość jako zabawka bardzo zajmująca; bawi się nią nietylko młoda dziatwa ale i starsze osoby nabierając wyobrażenia o postaci różnych stworzeń zaledwie znanych z nazwiska. Przy nazwie zwierzęcia na losach znajduje się jeszcze wiadomość do jakiej należy gromady, rzędu i gatunku, którą zdaniem naszem dałoby się pożyteczniej zastąpić krótkim opisem samego zwierzęcia i pożytku lub szkody jaki człowiekowi przynosi. Przy nowem wydawnictwie, które jesteśmy przekonani że wkrótce nastąpi, radzimy zmianę tę zaprowadzić.

Józefa Ungra kalendarz illustrowany na rok zwyczajny 1877 wyszedł z druku i może być nabywany we wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych. Cena kop. 50.

Dziennik na r. 1877. Jest to książeczka twardo i dość ozdobnie oprawna z ołówkiem do zapisywania na kartkach oddzielnych, z których każda po jednej stronie, na dwa dni przedzielone od siebie linijką jest przeznaczona. Służy zatem na rok cały. Cena egz. kop. 30.

Kalendarz ścienny na rok 1877 do zawieszenia na ścianie, obejmuje tylko sam kalendarz i zmiany księżyca. Odbity na grubej tekturze sprzedaje się po kop. 15.

Tak Dziennik jak i Kalendarz ścienny wydane są nakładem firmy Józefa Ungra i sprzedają się również we wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pa: Rom: K. w Sławucie. Wierszyk p. t. „Sierota,“ ma niektóre myśli poetyczne zręcznie ułożone, ale znajdują się i ustępy dość mgliste i niewyraźne. Cała budowa wierszyka dobra, ale to sukienka dopiero a myśl jej duszą która im jaśniej i treściwiej wyrażona, im dokładniej przeprowadzona, tym większą nadaje wartość całej pracy.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. I. Ubranie spacerowe z płaszczykiem. Suknia z ciemnego wełnianego materyału przysłonięta jest płaszczykiem, podszytym materyą jedwabną na wacie a zwierzchu pokrytym matelassem. Do zapinania służą wielkie guziki szmuklerskie, którem również przytwierdzone są wykłady na rękawach i klapki przy kieszeniach dodane z czarnego aksamitu. Kołnierz aksamitny; kieszenie z ciężkiej jedwabnej materyi zakończone kokardami. Kapelusz filcowy przybrany aksamitem i piórami, ma dodane barby czarne tiulowe a w podpięciu róże.

Fig. 2. Ubranie spacerowe z paletotem. Suknia odrobiona z materyału gładkiego i w pasy koloru stalowo szafirowego; spódnica zakończona plisowaniem; tunika długo spadająca podpięta z jednego boku szarfą cardinal, oszyta frendzlą jedwabną koloru sukni i wypustką cardinal. Paletot czarny aksamitny zdobny kosztowną pasmanteryą ma kołnierz i wykłady na rękawach z nurków. Kapelusz czarny kastorowy przybrany piórami i aksamitem koloru cardinal.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 11 (23) Ноября 1876 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28)

Tygodnik Mód w Warszawie 1876 roku.

DODATEK

z opisami wzorów i krojów do Numeru 48.

Opis do N. 47.

(Dokończenie).

Stanik z gładko przystającą baskiną podciętą z boków a przedłużoną z przodu i z tyłu, jest u dołu objęty wypustką jedwabną z wszytym sznurkiem. Kamienne guziki tego co suknia koloru, formą kulek wielkości laskowych orzechów, służą do zapięcia i stanowią bardzo modne przybranie przodów, baskiny i 13 cent. szerokich mankietów przy rękawach.

Na ryc. 11 w N. 48 podajemy przód takiego stanika wraz z ładnym kołnierzykiem i mankietami haftowanemi na *oksforcie* niebieskim. Proste, 10 cent. szerokie mankiety i kołnierzyk podług Fig. 83 przykrojony z *oksfortu*, podkłada się podwójnym grubym szyrtyngiem i obejmuje z brzegów pliską skośną $^1/_2$ cent. szeroką, z perkalu szamoa, przyszytą ściegiem krzyżowanym, albo przyrobioną kratką paryzką, jak na ryc. 2 w N. 48. Wywinięte rogi kołnierzyka zdobią gwiazdy haftowane prawdziwą turecką, dobrą do prania bawełną, koloru pąsowego i złotego (ryc. 2 w N. 48). Żabot biały batystowy ułożony jest z kwadratu mającego 32 cent., złożonego skośnie w ten sposób, iż zwierzchnia połowa jest z brzegów prostych o 2 cent. mniejsza od spodniej, w górze zaś $3^1/_2$ cent. od złożenia kwadrat jest przefałdowany w podwójną kontrafałdę i przypięty w sposób na ryc. 11 wskazany. Brzegi podług ryc. 1 w N. 48, są dziergane bawełną pąsową, niebieską i złotą w ten sposób ażeby po złożeniu haft na obydwóch częściach wypadł na prawą stronę.

N. 3. Ubranie dla małego chłopczyka.

Ubranie składa się ze spódniczki z przodu gładkiej, z tyłu w fałdy płaskie ułożonej, i z długiego kaftaniczka, któren z przodu do wcięcia w pasie jest na guziczki zapinany, a niżej skośnie otwarty. Oszycie z wązkiej i szerokiej pletni wełnianej.

N. 4—17. Frendzle, pasmanterya, galony i guziki do przyozdobienia sukien i okryć.

Frendzle, galony i pasmanterye stanowią obecnie najwięcej poszukiwane, bogate przyozdobienie sukien i okryć, podajemy więc czytelniczkom naszym niektóre próbki odznaczające się świeżym gustem. Frendzle jednak dla braku miejsca są krótsze jak być powinny, oprócz torsady górnej powinny mieć 6—10 cent. długości. Frendzle siatkowe ryc. 4 i 6, z grubego kordonku branego podwójnie, przyrabia się od razu do materyi albo do obrąbka chustek z krepy jedwabnej i t. p. Frendzle bardzo długie kwaścikowe, składają się z kilku lub więcej przez środek przywiązywanych nitek. Przy próbce N 5. torsada wiązana jest z jedwabnego sznureczka a frendzla z kordonku. Frendzle zadziergiwane zwane *Macramé*, ryc. 7 i 8 są najmodniejsze, do sukien i okryć robione są z kordonku a do rolet, kap i t. p. z kordonku nicianego lub z bawełny kordonkowej białej lub *écru*. Robić je można własnoręcznie, a przy wysokiej cenie frendzli, praca opłaci się sowicie, wymaga jednak nauki i wprawy. Na ryc. 9 mamy próbkę pasmanteryi ładnej i dość łatwej, robionej z jedwabnego sznurka i grubej szneli.

N. 10—11 są próbki jedwabnych galonów fabrycznych. N. 12 także galon wyszyty ściegiem łańcuszkowym, kolorem jasnym na tle ciemnym, zaś N. 13 przedstawia galon haftowany jedwabiami do cieniu, na tle aksamitnem, ściegiem płaskim, dzierganym i sznureczkowym. Na ryc. 14—17 podajemy próbki różnych guzików pokrytych ozdobną szydełkową robotą.

N. 18—22. Modne uczesanie.

Powyższe ryciny przedstawiają łatwy sposób układania własnych włosów, które rozdziela się na środku głowy, część tylną wiąże dość wysoko, część przednią rozdziela na dwie strony nad czołem układa do twarzy, jak na ryc. 19. Węzły i pukle na czubku głowy muszą być dodane z trzech oddzielnych promieni, i 74 cent. długich przekręcanych i wiązanych w sposób na ryc. 22 wskazany, a przypiętych do włosów zwiniętych na szpilki podwójne. Długo z tyłu spuszczone węzły, ułożone są z włosów własnych.

N. 23—24. Mankiety z czarnej materyi, haft z aplikacyą. Opis na arkuszu z krojami.

N. 25—26. Dwie krawatki.

Ciągle modne krawatki z różnego rodzaju tkanin, wyrabiane nakształt wstążek, coraz odmiennie przyozdobiane są klamrami lub przepięciami metalowemi, koronką, haftem, pióramı i t. p. Jedwabna krepowa tkanina na krawatkę ryc. 25, ma 14 cent. szerokości a 110 długości; w końcach wysiepana jest 2 cent. szeroka frendzla. Ozdobę zaś stanowią przepięcia złocone, łączące z sobą oba końce. Na ryc. 26 krawatka z szafirowej wstążki ma końce naszyte od środka kilka razy na obie strony, wązką karbowaną frendzelką koloru *cardinal* do cieniu, która naśladuje pióra. Naszycie to stopniowo zwężone ku górze, ma 17 cent. długości. Luźny węzeł przepięty jest ażurową kokardą z metalu złoconego.

N. 27—28. Kołnierzyk i podwójne mankiety. Krój i opis na arkuszu z formami.

N. 29. Koronka do kołnierzyka.

N. 30 i 37. Ubranie z vêtement zapinanem z boku. Krój jak do ryc. 32 i 33 w N. 48.

Ryc. 30 i 37 przedstawia z przodu i z tyłu suknię wełnianą z materyału gładkiego i w paski z odmiennemi rodzajami garnirunku. Vêtement nie podpinane, tylko gładko spuszczone z przodu i z tyłu, przykroić można podług formy do ryc. 32 i 33 w N. 48. Licząc od wcięcia w stanie długość przodu wynosi 80, a brytów tylnych 100, cała zaś szerokość dolna 240 centymetrów. Przy prawej połowie przodu dodane jest w jednym ciągu szerokie przypuszczenie, zaczynające się od połowy długości stanu, a służące do zapinania vêtement z boku. Plecy podług Fig. 16 przykrojone, są przy szwie środkowym skośnie stopniowo do 58 cent. u dołu rozszerzone i tylko do długości baskiny zeszyte, a dalej luźno puszczone.

U dołu vêtement dwa razy w odstępie 14 cent. naszyty garnirunek ı obłożenie, tworzy z tyłu dwa, jeden na drugi zachodzące rogi chustkowe; brzegi rozporu obłożone są plisą, zakończoną w górze kokardą z końcami. Gładkie rękawy oszyte dwa razy plisowaniem, i dwoma odstającemi, w górę obróconemi plisami. Zręczna kieszonka ma 24 cent. środkowej długości a 15 górnej szerokości a górny guziczkami przybrany ranwers, 9 cent. środkowej długości. Kokardy z przodu i z tyłu mogą być ze wstążki 7 cent. szerokiej albo ze skośnego podwójnie danego jedwabnego repsu.

N. 31. Ubranie z vêtement i paź unoszący tren.

Takie vêtement krajać można podług formy paletota dodanej do ryc. 1-szej, którą jednak dopasować trzeba podług figury; w stanie przy szwach bocznych pleców przyszywa się od spodu tasiemki wiązane z przodu, tym sposobem vêtement lepiej wpada do figury. Moda wymaga obecnie ażeby wychodząc na ulicę tren sukni unosić w górę za pomocą pazia, jak to widzimy na ryc. 31. Paź taki odrobiony z matowego metalu, w kształcie maleńkich szczypczyków, zawieszony jest na grubym jedwabnym sznurze, przy którym przyczepione są dwa krótkie kawałki łańcuszka, z których jeden służy do pazia drugi do zawieszenia kieszonki albo wachlarza. Jeżeli materyał sukni nie jest zbyt gruby, a spodnia spódnica nadto krochmalna, paź może unosić obie razem, jak to widzimy na ryc. 31.

Na modelu suknia z gładkiego wełnianego materyału oszyta była plisowaniem 16 cent. szerokiem, z małym przestębnowanym nagłówkiem, pod który poddana skośna 4 cent. szeroka falbaneczka, z takiego jak vêtement materyału w paski, ułożona w kontrafałdy. Tylne bryty vêtement były nakształt trenu przedłużone, od dołu nie zeszyte z przodem, tylko przypięte na guziczki do sukni, a trochę wyżej ułożone w pukiel przepięty dużym, szerokim węzłem.

N. 32. Półeczki ozdobione malowaniem nakrapianem.

Wielokrotnie już opisywaliśmy ten rodzaj malowania wykonywany tuszem lub sepją, zapomocą szczoteczki, przyczem deseń układa się z suchych liści i mchów, albo wycina z papieru i nakleja a następnie zwilżony zdejmuje pozostawiając jasne odbicie na drzewie, na którem żyłki i cienie dodane są odręcznie piórem.

N. 33. Koroneczka szydełkowa.

Koroneczkę robi się poprzecznie całą od razu, zaczynając od 8 o. powietrznych złączonych w kółko, koło którego najpierw daje się 5 o. ścisłych, dalej 6 o. pow., znów 5 o. ścis. przy pierwszym kółku, potem * kółko następne z 8 o. pow. 5 o. ści., 5 o. pow przyczepionych do pentelki z 6 o. pow. a obrobionych 5 pik., każden z 5 o. pow. złączonych razem i przyrobionych 1 o. ści., 5 o. ści. Powtarzać ciągle od *, tylko następne o. pow. przyrabiać do drugiego pikota poprzedzającego ząbka. Górne obrobienie łańcuszkowe jest co 5 o. pow. przyrabiane jednem o. ścisłem.

N. 34—36. Kapelusze zimowe.

Ryc. 34. Kapelusz z wysoką, spiczastą główką.

Model z filcu ciemno-zielonego ubrany był aksamitem, piórami i repsem, dobieranemi do cieniu aż do koloru kwiatu lipowego.

Ryc. 35. Kapelusz do wiązania z wygiętem rondkiem.

Z filcu czarnego, ubrany piórami i wstążką czarną, tylko rondko podgarnirowane koronką *ivoire* i z boku podpięte gałązką róż.

Ryc. 36. Kapelusz z rondem podniesionem z przodu dla młodych panienek.

Kapelusz jasno-szafirowy ubrany sznurem kręconym i skrzydełkami *cardinal* albo *nacarat* z rondem w górę podniesionem z przodu, służy jedynie dla bardzo młodych osób.

N. 38. Ubranie spacerowe z krótkim paletocikiem. Krój paltocika jak do ryc. 15—16 w N. 48.

Wełniana ciemno-zielona suknia ma tunikę ozdobioną kulkową frendzlą, przyrabianą do obrąbka. Paletocik podszyty flanelką, jest wyszyty sutaszem. Guziki szmuklerskie.

N. 39 i N. 28 w N. 48 Tygodnika. Długi paletot obłożony futrem i naszyty pletnią. Krój podług ryc. 15—16. w N. 48.

Powyżej wskazana forma służy i do długich paletotów, a potrzebne zmiany, rozszerzenie u dołu i przydłużenie oznaczone jest na Fig. 1—3-a punkcikami i liczbami. Paletot odrobiony z grubego, zimowego materyału, naszyty kilka razy w odstępach $2^1/_2$ cent., pletnią wełnianą 7,

5, 4 i 3 cent. szeroką, nad pletnią obłożenie futrzane z oposów 7 cent. szerokie, nad tem znowu dwa rzędy pletni 5 cent. szerokiej idą także obok futra aż do góry zwierzchniego przodu.

N. 40. Vêtement paletocikowe, dla panienki lat 8—10. Krój podług ryc. 9 w N. 48.

Czarny aksamitny paletocik tak długi jak suknia, obłożony jest skunksami, a przepasany szeroką w fałdy założoną, niebieską szarfą, zakończoną frendzlą siepaną.

N. 41—42. Opisy na arkuszu z krojami.

Opis do N. 48.

N. 1—2. Zakończenie krawatki i narożnik do kołnierzyka. Patrz ryc. 11 w bieżącym N-rze; opis przy ryc. 2 w N-rze 47.

N. 3—9. Opisy pomieszczone na arkuszu z krojami.

N. 10. Kapotka dla małego dziecka.

Kapotki z białego lub kolorowego kaszmiru, z podszewką jedwabną lekko podwatowaną, z brzegów podszyte drucikiem, odpowiednie są nietylko dla dzieci ale i dla starszych dziewczynek, jako doskonale zabezpieczające głowę i szyję od zimna. Rycina 10 przedstawia białą kaszmirową kapotkę zdobną wyszyciem z sutaszu, frendzelką jedwabną, wstążką 3 cent. szeroką i puszkiem łabędzim. Z przodu w oszycie z puszku wpięta różyczka z listkami.

N. 11. Opis przy ryc. 2 w N. 47.

N. 12. Paletot zdobny plisowaniem. Krój podaliśmy przy ryc. 39—40 w N-rze 45 Tygodnika.

Podług powyżej załączonego kroju, z małą odmianą z brzegów przednich dopasowany jest elegancki paletocik z wełnianego matelassu na podszewce jedwabnej lekko watowanej. Brzegi otacza podwójna repsowa wypustka z grubym sznureczkiem; wykłady na rękawach w środku 12 cent. długie i patki przy kieszonkach 6 cent. szerokie zakończone są także podwójną wypustką. Plisowanie 4—6 cent. szerokie przy brzegach dolnych zwrócone w górę ułożone jest z czarnego repsu. Frendzla 10 cent. szeroka i wielkie guziki szmuklerskie dopełniają przybrania.

N. 13—14. Kaftaniczek bez rękawów. Krój na arkuszu dodatkowym: N. III, Fig. 13—14.

Zgrabne kaftaniki bez rękawów czyli tak zwane kamizelki ciągle dużem cieszą się powodzeniem. Ryc. 13—14 przedstawiają przód i plecy kamizelki z czarnego wełnianego materyału na kolorowej jedwabnej podszewce. Przyozdobienie stanowi w ścisłych rzędach naszyta wąziutka plecionka złota lub przerabiana ze srebrem i czarnym jedwabiem. Gładkie linije na Fig. 12—14 wskazuje miejsce wyszycia z przodu i na plecach; od dołu dane wyszycie 4 cent. szerokie.

Złote pukielki i frendzla jedwabna zdobią wykrój szyi i brzeg dolny; guziki szmuklerskie czarne ze złotem; kokarda z wstążki czarnej repsowej 5 cent. szerokiej.

N. 15—16. Opis na arkuszu z krojami.

N. 17. Paletocik dla panienki lat 12—14. Krój dopasować można podług ryc. 35—36.

Uszyty z mięsistego materyału liczy 57 cent. długości z przodu, 63 z tyłu a 80 cent. w połowie szerokości dolnej; plecy u dołu otwarte na 23 cent. wzdłuż zachodzą na siebie 3 cent. szeroko. Przednie brzegi paletota, 13 cent. długie wykłady na rękawach i kieszonki 14 cent. długie, 17 u góry, 19 u dołu szerokie są objęte repsową pliską. Naszycie z pletni 3 i 1 cent. szerokiej; kokardy z wstążki repsowej.

N. 18—19. Opis na arkuszu z krojami.

N. 20—28. Fasony modnych kapeluszy.

Załączone tu fasony przedstawiają kapelusze filcowe ciągle utrzymujące się w modzie i odpowiednie do wyjścia na ulicę. Kolor filcu jest różny: ciemno-granatowy, piaskowy, loutre, ciemno-zielony, strojniejsze są białe, ivoire (kolor kości słoniowej) lub jasno popielate. Do przybrania służy aksamit, wstążki atłasowe, matelassé jedwabny przedewszystkiem zaś pióra; kwiatów w ubraniu filcowych kapeluszy używa się w tym roku nie wiele.

N. 24—25. Opis na arkuszu z krojami.

N. 26—27. Długi płaszczyk z otwartemi rękawami. Krój w dodatku N. II, Fig. 7—12-a.

Ryciny 26—27 przedstawiają przód i plecy płaszczyka z szewiotu, zapinanego na dwa rzędy guzików i dopasowanego podług Fig. 7—12.

Z powodu braku miejsca Fig. 7 nie jest całkowitą i potrzeba od naznaczonych strzałek przydłużyć ją podług podanych miar. Po zeszyciu ramion (od O — P) i pleców obrębia się pachę wązko od N — P wszywa rękaw (Fig. 9—10) zeszyty od Q — R i założony w dwie fałdki, wskazane na Fig. 10. Od Q do T rękaw trochę się naddaje od T — U wszywa zupełnie gładko. Po wszyciu rękawa przody i plecy łączą się od N szawem odwracanym; przedni wązko zaobrąbiony brzeg rękawa puszczony jest luźno; jeżeli chcemy zrobić rękaw węższym u dołu to trzeba go zapiąć na guzik przyszyty od spodu w miejscu wskazanem na Fig. 9-a i odpowiednią dziurkę w części rękawa podanej na Fig. 10-a. Wykładany kołnierz (Fig. 11) i kieszonki (Fig. 12) szyją się z podwójnego materyału i ze sztywną podszewką.

N. 28. Opis przy ryc. 39. w N-rze 47.

N. 29—30. Długi płaszczyk z szerokiemi rękawami. Krój w dodatku N. IX, Fig. 42—45-a.

Podany z przodu i z tyłu płaszczyk odszyty jest z ciemnego materyału; kołnierz i 8 cent. szerokie wykłady na rękawach przytwierdzone guzikami są z jedwabnego repsu. Zestawienie pojedyńczych części kroju ułatwia zmniejszony format kroju Fig. 42-a.—45-a. Zeszycie pleców idzie od D — E, poniżej zaś brzegi podszyte listewkami zachodzą na siebie i przyczepiane są pięcioma guzikami. Przody dobrze zachodzące na siebie i szeroko podszyte podszewką zapinane są dwoma rzędami guzików. Zwierzchnią i spodnią połowę rękawa kraje się w jednym ciągu podług Fig. 44; linija prosta przerywana oznacza brzeg dolny rękawa; obie połowy zszywają się od F — G a z brzegów tylnych gładko na sobie leżących spinają się 5 guzikami od H —*.

N. 31—42. Opisy pomieszczone na arkuszu z krojami.

N. 43—44. Przykrycie na stolik, poduszkę, koszyczek lub t. p. Wywodzenie na tiulu.

Może mieć formę podłużną lub kwadratową odpowiednio do czego ma służyć; jeśli chcielibyśmy deseń ten wyszyć na serwetkach do mebli to brzegi z czterech stron zakończałyby się w równe zęby. Rycina 44 przedstawia przykrycie na mały stoliczek, liczące 59 cent. długości a 41 szerokości, z podłużnych brzegów zakończone w drobne ząbki a z poprzecznych w dłuższe śpiczaste zęby tworzące jakby lambrekiny z boków stoliczka. Rycina 44 załącza w naturalnej wielkości wzór wyszycia na tiulu, nićmi świecącemi; ząbki brzeżne dodane szydełkiem liczą po 3 sł. i 1 o. śc. Podług ryc. 44 można także zakończyć rogi tiulowej krawatki.

N. 45—47. Opis na arkuszu z krojami.

N. 48—50. Poduszka pod nogi. Wyszycie na kanwie.

Rycina 49 załącza w naturalnej wielkości próbkę wyszycia na kanwie do poduszki ryc. 48; każdy kwadracik składa się z prostego krzyżyka otoczonego w kwadrat ramką z prosto przeciąganych nitek; pomiędzy każdym ściegiem pozostaje tylko jedna nitka kanwy. Rozmiar poduszki odrobionej na grubej kanwie włóczką kastorową wynosi 30 cent. w kwadrat; włóczkę najlepiej dobrać w pięciu cieniach jednego koloru; krzyżyk środkowy jest najciemniejszy, ramka robi się stopniowo do najjaśniejszego cieniu. Pluszowe otoczenie brzegów składa się z czterech rzędów frendzli popielatej do cieniu. Wykonanie frendzli której pierwszy rząd przyrabia się tuż przy tle poduszki, a następne wypadają co 8 nitek kanwy, wskazuje ryc. 50. Frendzlę nawija się na linijce 3 cent. szerokiej i każda pentelka przytwierdza się krzyżykiem: robi się najpierw ścieg prosty przeciągnięty od spodu przez dwie nitki (tak jak strzałka), potem drugi ścieg skośny, przeprowadza następnie od góry przez wierzch pod spód linijki nitkę i robi znów ścieg prosty, jak to kierunek igły na rycinie 50 wskazuje. Po skończeniu całego rzędu frendzli, pentelki przecinają się u dołu i rozczesują grzebykiem.

N. 51. Wszywka. Robota szydełkowa z torsadką na widełkach.

Torsadka przerabiana trzema sł. w środku, ma dodane z brzegów obrobienie liczące w pierwszym rzędzie po 3 sł. przedzielane 1 o. pow., a w drugim 1 sł., i 1 o. pow. naprzemian.

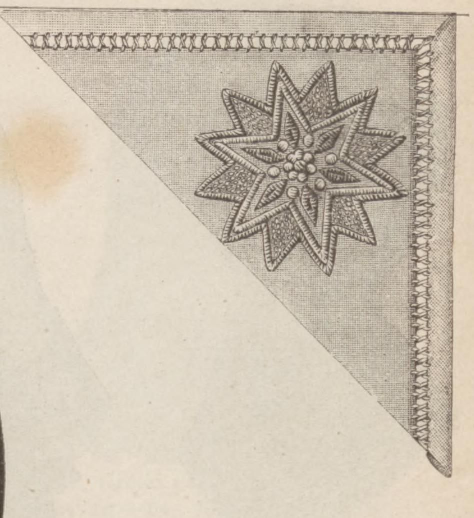
Дозволено Цензурою.



N. 1. Dzierganie do krawatki ryc. 11.



N. 3. Medaljon do ryc. 4.



N. 2. Narożnik do kołnierzyka ryc. 11.

Opis do N. 46.

(Dokończenie).

Wzdłuż skośnego zapięcia stanika i tuniki idą trzy rzędy guziczków, przedzielanych kokardami. Rękawy zakończone wązkiemi sznurowanemi mankietami, dopełnionemi kokardami. Spódnica oszyta dwoma rzędami plisowania; tunikę zakończa plisa i frendzla.

N. 26. Ubranie dla chłopca.

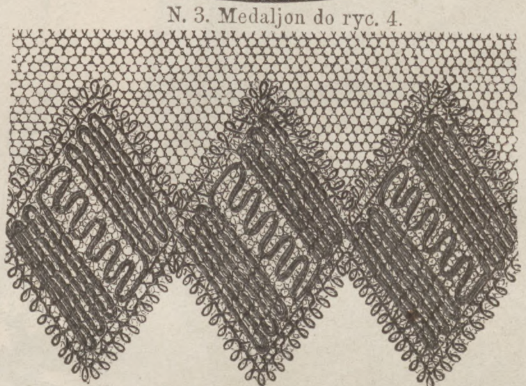
Składa się z kurtki, kamizelki i majtek odszytych z cienkiego sukna popielato-rezedowego koloru. Kurtka zapinana z przodu jednym guzikiem, przestębnowana z brzegów na 1 cent.

N. 28—29. Płaszczyk z pelerynką, dla dziecka lat 2—4. Krój w dodatku N. VII. Fig. 28—32.

Części płaszczyka dopasowane podług powyżej wskazanego kroju łączą się z sobą; przy zszywaniu pleców szew idzie od 3—4, niżej zaś dane rozcięcie sięgające do dołu; część zachodząca pod spód zczepia się niewidocznie z brzegiem zachodzącym na wierzch. Pelerynka łączy się z płaszczykiem za pomocą wązkiego paska, otaczającego wykrój szyi; kieszonki liczą po 10 cent. długości, 14 w górze, 15 u dołu szerokości. Rycina 28 przedstawia przód płaszczyka z jasnobrazowego bukskinu; oszycie stanowi wązka pletnia ciemno brązowa. Drugi płaszczyk podany na ryc. 29 odszyty z czarnego aksamitu, zdobny białym haftowanym szlaczkiem.



N. 5. Fartuszek atłasowy z irlandzką koronką. Opis w dodatku z krojami Fig. 87.



N. 7. Zakończenie woalika ryc. 19.



N. 6. Fartuszek jedwabny z falbankami. Opis na arkuszu.

N. 30. Kwadrat koronkowy.

Kwadrat robotą koronkową łączony z trojakiego rodzaju tasiemeczek, załączony w naturalnej wielkości na rycinie 30, odpowiedni jest do przyozdobienia poduszeczek, serwetek i t. p. Może być użyty nawet do dużych serwet w połączeniu z kwadratami z materyi lub cienkiego płótna.

N. 31. Szyfonierka. Mozajka z szyszek leśnych.

Podstawę szyfonierki stanowi mocne tekturowe pudełko, formą półokrągłą, wyklejone wewnątrz glansowanym pa-



N. 4. Taboret zdobny haftem. Patrz ryc. 20. Deseń i opis na arkuszu Fig. 38—39.



N. 8. Paletot dla chłopca lat 8—10. Krój i opis na arkuszu N. VI Fig. 25—30.



N. 10. Kapotka dla dzieci.



N. 9. Długi paletot dla panienek lat 9—10 Patrz ryc. 42 w N-rze 47. Krój i opis na arkuszu N. V Fig. 16—24.



N. 14. Kamizelka bez rękawów. Patrz ryc. 13. Krój w dodatku N. III Fig. 13—14.

N. 15. Krótki paletocik z półwciętemi plecami. Patrz ryc. 16. Krój i opis w dodatku N. I Fig. 1—6-a.

N. 20. Fason kapotki.

N. 24. Kaftanik dla dziecka 1—2 lat. Krój i opis w dodatku N. XV, Fig. 73—78.

N. 18. Woalik z końcami ściętemi prosto. Krój i opis na arkuszu N. XVI Fig. 79.

N. 21. Modny kapelusz (nieubrany)

N. 22. Modny kapelusz filcowy. (nieubrany).

N. 19 Woalik z zakrąglonemi końcami. Patrz ryc. 7. Krój i opis w do datku N. XVI, Fig. 79.

N. 23. Modny kapelusz (nieubrany).

N. 25. Kaftanik dla dzieci lat 1—2. Patrz przód ryc. 24.

N. 16. Krótki paletot z półwciętemi plecami. Patrz ryc. 15.

N. 17. Krótki paletocik dla panienki lat 12—14. Krój jak do ryc. 35—36.

N. 26. Długi płaszczyk z otwartemi rękawami. Patrz ryc. 27.

N. 28. Długi paletot zdobny pletnią i futrem. Patrz ryc. 39 w N. 47. Odpowiedni krój przy ryc. 15—16.

N. 29. Długi płaszczyk z szerokiemi rękawami. Patrz ryc. 30.

N. 11. Stanik do ryc. 2 w N. 47, tudzież kołnierzyk i krawatka. Krój w dodatku N. XI, Fig. XVIII.

N. 13. Kaftanik bez rękawów ... ryc. 1...

N. 12. Paletocik zdobny plisowaniem. Krój patrz ryc. 39—40 w N. 45.

N. 27. Długi płaszczyk z otwartemi rękawami. Patrz ryc. 26. Krój w dodatku N. II, Fig. 7—12-a.

N. 30. Długi płaszczyk z szerokiemi rękawami. Patrz ryc. 29. Krój w dodatku N. IX, Fig. 46—50-a.

N. 31. Długi wcięty paletot. Patrz ryc. 1 w N. 47. Krój w dodatku N. X, Fig. 42—50-a.

N. 32. Suknia z przybraniem naśladującem kaftanik. Patrz ryc. 33. Krój i opis na arkuszu. N. IV Fig. 15—18-a

N. 34. Sukienka z fałdowaną spódniczką. Patrz ryc. 34-a. Krój i opis na arkuszu N. VII, Fig. 31—36.

N. 39. Suknia z vêtement formą princesse i ze szmizetką. Dla panienki lat 11—13. Patrz ryc. 40—42. Krój i opis w dodatku N. XIII Fig. 60—65.

N. 25. Długi paletot z weinanemi plecami dla panienki lat 12 — 14. Patrz ryc. 36. Krój i opis na arkuszu N. XII, Fig. 55—59-a.

N. 37—38. Vêtement płaszczykowe dla dzieci lat 3—5. Krój i opis na arkuszu N. XIV, Fig. 66—72.

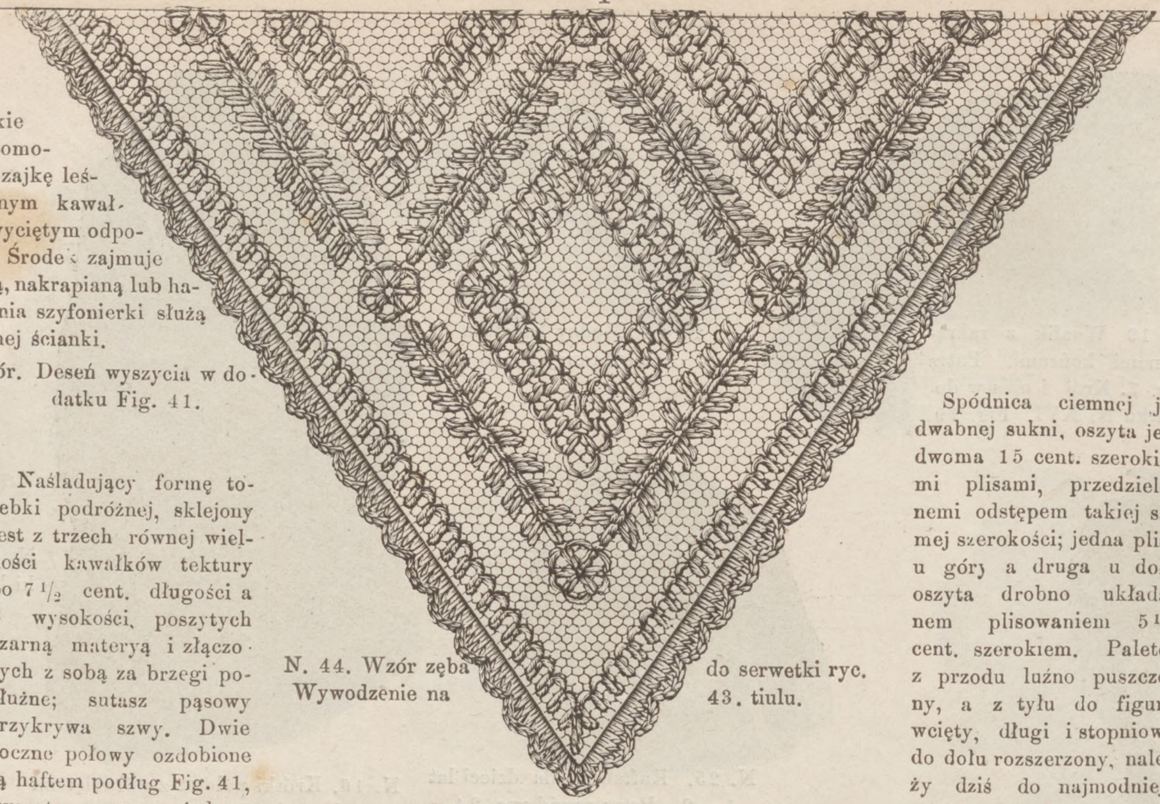
N. 36. Długi paletot z weinanemi plecami. Patrz ryc. 35.

N. 40. Suknia z vêtement formą princesse. Patrz ryc. 39.

N. 34-a. Sukienka z fałdowaną spódniczką dla dziewczynki lat 7—9. Patrz ryc. 34.

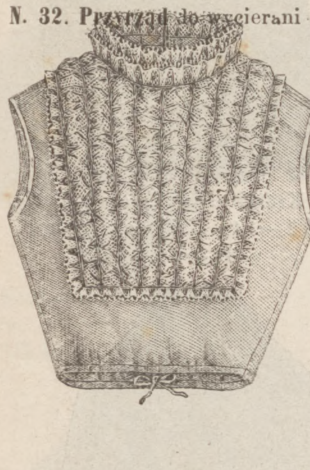
N. 33. Suknia z przybraniem odznaczającem kaftanik. Patrz ryc. 32.

pierem, liczące 24 cent. długości, 12 szerokości w środku a 8 cent. wysokości. Płaskie przykrycie przywiązane jest za pomocą wstążki do ścianki tylnej. Mozajkę leśną trzeba wykończyć na oddzielnym kawałku tekturki cienkiej brązowej, wyciętym odpowiednio do ścianki frontowej. Środek zajmuje okrągły medaljon robotą krzyżową, nakrapianą lub haftowany na materyi. Do zawieszenia szyfonierki służą dwa uszka przytwierdzone do tylnej ścianki.



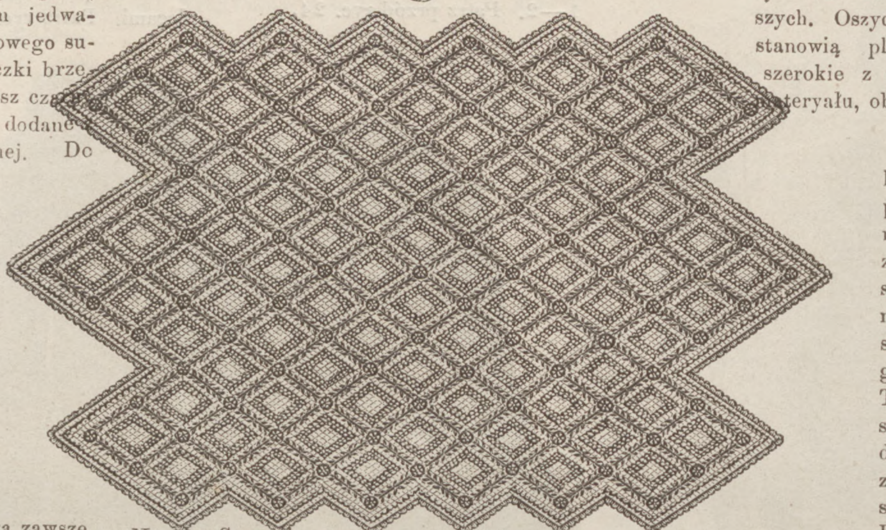
N. 44. Wzór zęba do serwetki ryc. 43. Wywodzenie na tiulu.

N. 32. Przyrząd do wycierania piór. Deseń wyszycia w dodatku Fig. 41.



N. 41. Szmizetka do sukni ryc. 39. Patrz ryc. 42. Krój i opis na arkuszu N. XIII, Fig. 64—65.

Naśladujący formę torebki podróżnej, sklejony jest z trzech równej wielkości kawałków tektury po 7 ½ cent. długości a 6 wysokości, poszytych czarną materyą i złączonych z sobą za brzegi podłużne; sutasz pąsowy przykrywa szwy. Dwie boczne połowy ozdobione są haftem podług Fig. 41, wyszyty pąsowym jedwabiem na tle piaskowego sukna; proste szlaczki brzeżne stanowi sutasz cz[illegible] i złoty. Uszko dodane [illegible] blaszki mo[illegible]nej. Do wycierania piór służy ściśle zwinięty kawałek czarnego sukna, nacinany z brzegów w wąziutkie paski jak to widać na ryc. 32 i wsunięty w środek między ścianki.



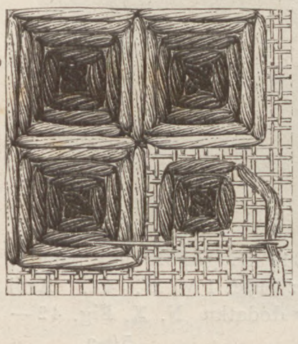
N. 43. Serwetka wywodzona na tiulu. Patrz ryc. 44.

N. 33. Szufelka i szczotka do zmiatania. Malowanie i nakrapianie na drzewie. Deseń patrz Fig. 38—40.

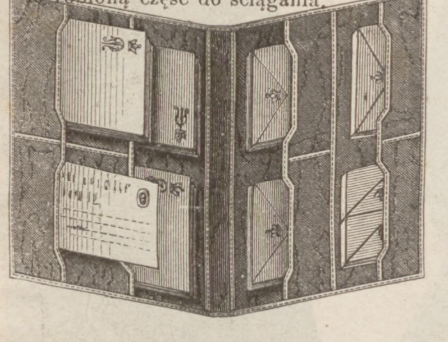
Podajemy wzór ozdobnej szufelki i szczotki ręcznej do zmiatania okruszyn, kurzu lub tp. ze stołów i sprzętów eleganckich, mogących się rysować. Tego rodzaju szufelka i szczotka mogą zawsze pozostawać pod ręką skrzętnych i lubiących porządek gospodyń.

N. 34—35. Woreczek do robót albo kapciuch. Robota szydełkowa.

Z kłębuszkowej kręconej bawełny koloru brązowego, N. 30, robi się woreczek podług próbki naturalnej wielkości ryc. 35. Służyć on może do robót albo do tytoniu, tylko w tym ostatnim razie podszyć go trzeba skórą albo ceratą. Model miał 17 cent. długości a 16 szerokości i składał się z pasów robionych podłużnie a następnie spajanych. Na ryc. 35 mamy próbkę naturalnej wielkości ściegu karbowanego, w deseń pikowy, podług której łatwo będzie można wykonać robotę a następnie przyozdobić woreczek kwaścikami, a w górze dodać w koło robioną część do ściągania.



N. 49. Wyszycie na kanwie do ryc. 48.



N. 6. Wewnętrzne urządzenie teki ryc. 45. Opis na arkuszu Fig. 84—85.

N. 36. Ubranie z beduinową na spódnicy upinaną tuniką. Przód do ryc. 25.

N. 37. Ubranie strojne garnirowane koronkami.

Bogato koronkami przybrana ciężka jedwabna suknia, może być cała w jednostajnym kolorze, albo jak to ciągle jeszcze jest modne, w dwóch odmiennych, stosownie dobranych kolorach np. ciemno-fijołkowa z blado-żółtawym, ciemnobrązowa z niebieskim albo mchowo-zielona z *ivoire*. Stanik z kwadratowym wykrojem dopełnia w fałdy układana szmizetka z jedwabnego tiulu.



N. 45. Teka na papiér listowy. Haft na skórze. Deseń na arkuszu. Patrz ryc. 46.



N. 51. Wszywka.



N. 48. Poduszka pod nogi. Wyszycie na kanwie. Patrz ryc. 49—50.

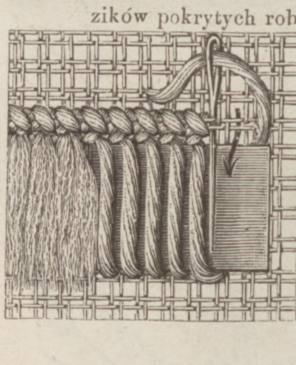
Opis do N. 47.

N. 1. Ubranie spacerowe z półwciętym paletotem. Przód na ryc. 31 w N. 48. Krój N. X Fig. 46—50.



N. 42. Szmizetka do sukni ryc. 39. Patrz ryc. 41. Krój i opis w dodatku N. XIII, Fig. 64—65.

Spódnica ciemnej jedwabnej sukni, oszyta jest dwoma 15 cent. szerokiemi plisami, przedzielonemi odstępem takiej samej szerokości; jedna plisa u góry a druga u dołu oszyta drobno układanem plisowaniem 5 ½ cent. szerokiem. Paletot z przodu luźno puszczony, a z tyłu do figury wcięty, długi i stopniowo do dołu rozszerzony, należy dziś do najmodniejszych. Oszycie ryc. 1-szej stanowią plisy 8 cent. szerokie z tego samego materyału, objęte wypustką repsową, z grubym sznurkiem. Duże pasmanteryjne guziki, dopełniają przybrania paletota z czarnego mohairu. Przody zapinane na dwa rzędy guzików, objęte są wypustką ze sznurkiem zarówno jak kołnierz i klapki przy rękawach. Plisa naszyta przy szwie pleców ma 50 cent. długości, a przy szwach bocznych 58 cent. Takąż samą plisą ozdobiony otwór do kieszonki, podszytej od spodu przy szwie przodu. Ryc. 31 przedstawia z przodu paletot z gładkiego grubego materyału, obłożony skunksami i suto przybrany pasmanteryą. Ryc. 15—16 przedstawia wzory dużych guzików pokrytych robotą szydełkową.



N. 50. Wykonanie frendzli do ryc. 48.

N. 2. tudzież N. 1, 2 i 11 w N. 48 Tygodnika Mód. Ubranie ze spódniczkową tuniką i stanikiem z baskiną. Krój tuniki i stanika na dodatku, N. XI Fig. 51—54. Krój kołnierzyka N. XVIII Fig. 83.

Spódnica ciemno-popielatej, wełnianej sukni, ogarnirowana naprzemian dwoma plisowanemi i dwoma skośnemi, marszczonemi falbankami, 6 cent. szerokiemi. Tunikę trochę bufowaną z tyłu, zdobi plisowanie z materyi i galon popielaty jedwabny, haftowany, jedwabiem koloru kwiatu lipowego; próbkę galonu i łańcuszkowego wyszycia zobaczyć na ryc. 12. Formę i miarę tuniki podajemy na Fig. 54, gdzie połowa przodu oznaczona jest literą *a* a połowa tylnego bryta literą *b*. Przed zeszyciem tuniki z boków, trzeba poprzednio zaszyć fałdy na zmniejszonym rysunku kroju oznaczone, które z przodu zaczynają się na 26 cent. od górnego brzegu, a przy brycie tylnym 16 cent., a skracają pierwszy do 86, drugi do 112 centymetrów. Zbywająca długość tylnego bryta jest wystąpiona od dołu. Do środka paska z tyłu przyszywa się tasiemkę 25 cent. długą służącą do podpięcia bryta tuniki, któren w górze układa się w dwie kontrafałdy 11 cent. szerokie i przyszywa do paska, a dalej podpina w dwie bufki przyszyte do tasiemki.



N. 47. Postument do wkładania listów. Deseń i opis na arkuszu Fig. 86.

(dok. nast.)